KURPIE.

Dodatek do „Kuryera Codziennego".

KURPIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

KAZIMIERZA WŁADYSŁAWA WÓYCICKIEGO.

WARSZAWA.
Druk W. Dunina i S-ki
Krak.-Przed. № 15/17.

1902.

Дозволено Цензурою
Варшава, 15 іюня 1902 года.

I.

Było to w styczniu 1708 roku. Na małym kominku palił się ogień, przy nim siedział w wielkiem, z wysoką poręczą krześle, stary Ordon i nucił psalmy Dawida, przekładu Jana Kochanowskiego z Czarnego lasu. Ale śpiew jego był cichy, głos drżący, był to starzec już 65 lat wieku liczący, towarzysz wypraw Jana Sobieskiego, który wiele jeszcze zapamiętał z czasów Jana Kazimierza, bo w kwiecie wieku służył w husarskiej chorągwi Stefana Czarnieckiego. Chociaż wiekiem styrany, siwizną okryty, zachował czerstwość na licach i żywość młodzieńczą; siedział właśnie w swojej sypialnej komnacie, grzejąc się przy kominku. — W rogu ściany stało jego łoże nie puchem wysłane, materac twardy skórą łosią zasłany, na niej rozciągnięta skóra niedźwiedzia, skórzana włosem wypchana poduszka pod głowę, burka do okrycia, oto było łoże starego Ordona. Nad niem wisiał kord krzywy, kolcza zbroja, hełm ozdobny i skrzydło orle w srebro oprawne, zabytki ubioru husarskiego; pod tem wielki krzyż hebanowy, z Chrystusem ukrzyżowanym i relikwiami świętego Bonifacego, którego ciało w Czerniakowie pod Warszawą spoczywa, gdzie rok rocznie mnóstwo pobożnych w pierwsze dnie majowe wzywa jego opieki i pomocy.

W przeciwnym rogu komnaty stała mała szafeczka z cisowego drzewa snycerską robotą, gdzie ulubione księgi przechowywał Ordon. Tam w pergamin lub skórę oprawne znajdowały się kroniki: Bielskich, Gwangnina, Stryjkowskiego. — Zielniki potrzebne do apteczki domowej Marcina z Urzędowa i Syreniusza; Bardzińskiego przekład tragedyi Seneki, a Morsztyna Kornela Andromaki i Cyda. Zbiór poezyj Wespazyana z Kochowa Kochowskiego, pod tytułem: „Nie próżnujące próżnowanie“ i „Wiedeń wybawiony.“ Wiele dzieł Samuela z Skrzypny Twardowskiego, między temi Poselstwo sławne księcia Zbaraskiego do Turek, Przysłowia Fredry, Kronika Orzechowskiego, Dworzanin Górnickiego, Pisma Mikołaja Reja z Nagłowic i wiele innych.

Na stoliku leżały roztwarte Metamorfozy Owidiusza, przekład Chrościńskiego, ulubione dzieła Ordona, tem więcej, że żył w ścisłej przyjaźni z Chrościńskim, który przybocznym był sekretarzem Jana III i sławnym wówczas poetą. Przez niego był przedstawiony Sobieskiemu, który poznawszy wielkie zasługi Ordona, darował mu wioseczkę Jazdów, gdzie spokojnie resztę życia przepędzał. Wystawił sobie dwór porządny i z kochaną Małgosią i dziećmi, przy skrzętności i gospodarstwie nazywał się szczęśliwym. Że to był wieczór, swoim zwyczajem nucił pieśni pobożne; w pobocznej komnacie siedziała pani Ordonowa, zajęta naprawą rogówki, przy niej Zosia, jej córka, przędąc na kołowrotku.

— Cóżeś tak zamyślona? — mówiła do Zosi, czekasz na Stasia zapewne?

Na wspomnienie Stasia, Zosia raka upiekła i spuściła oczy.

— A bywało dawniej, to Zosia matce prześpiewała wieczór, zabawiła, teraz siedzim jak mruki.

Zosia nie śmiała nic odpowiedzieć, tylko zanuciła piosnkę dawną, którą matka śpiewała w swojej młodości.

Wtem głośno Pokurcz zaszczekał na podwórzu, Zosi mocno serce bić zaczęło, niedługo roztworzyły się podwoje i wszedł gość spodziewany. Był to Stanisław Telembski, dworzanin pani wojewodziny rawskiej, młodzieniec dorodny. Zosia stanęła cała w ogniu. Matka z uśmiechem powitała Stasia, który pośpieszył do sypialni starego Ordona.

— Quomodo vales? mój Stasiu—rzekł starzec, podając mu drżącą rękę.

Telembski pocałował ją z uszanowaniem.

— Cóż nowego przywozicie, gdzież nasz król najjaśniejszy?

— Wszystko złe, mój ojcze, szwedy znieśli wojsko saskie w Inflantach, już są niedaleko, a król August opuścił Warszawę i uchodzić musi.

— Jakto! — zawołał z uniesieniem Ordon — i w tej chwili sięgnął ręką jakby chciał szablę pochwycić,—nie było nikogo coby się oparł najezdnikom, coby dumie przytarł rogów?

— Nikt im się oprzeć nie zdołał, na skrzydłach zwycięstwa i przestrachu Karol XII zajmuje Polskę, a sztandar szwedów powiewa na murach Warszawy.

— O, czuję — rzekł z głębokiem westchnieniem Ordon, czuję i cała Polska czuje, że niemasz Jana III; nie takie zastępy doświadczoną rozbijał szablą. A teraz przed garstką najezdców, wszystko pierzcha i ucieka..

— Z początku—mówił dalej Telembski, wszystko szło pomyślnie w Inflantach, szwedzi rozprosze-

ni, warowne zajęto twierdze. Zdawało się, że wszystko sprzyja zamierzonej wyprawie. Król duński August i Piotr Wielki, ze trzech stron nacisnęli szweda; wielkie miano nadzieje, że Karol XII, zaledwie 19 lat wieku liczący, nie potrafi stawić oporu, ale były to zwodne nadzieje. Karol bije duńczyków, w 7,000 swoich rozbija rossyan pod Narwą, zwycięża sasów i strąca z tronu Augusta.

— Więc do tej zuchwałości się posuwa najezdnik, że pozbawia korony tego, któregośmy wolnemi głosy, wolną obrali elekcyą? Cóż ma za prawo? może sam chce królem polskim zostać, jak Gustaw, ale Gustaw znalazł zdrajców Radziejowskiego!...

— Zapomniałeś, mój ojcze — rzekł z boleścią Telembski, że syn jego żyje; on to namówił Augusta do rozpoczęcia tej nieszczęśliwej wojny, on zachęcał króla, a teraz...

— Jakto! — zawołał Ordon, więc to sprawka prymasa? a dobrze mówią:

Jakie drzewo, taki klin,
Jaki ojciec, taki syn.

Niedaleko pada jabłko od swojej jabłonki.

Inflanty, wiadomo ile jęczały pod żelaznem jarzmem szwedów; zubożone podatkami, ciśnieni niesprawiedliwością, wysłały poselstwo do ojca dzisiejszego króla szwedzkiego, Karola XI, z przedstawieniem i prośbami. W tem poselstwie odznaczał się Jan Reynhold Patkul, inflantczyk, który śmiało i z godnością wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny przedstawił. Z początku Karol XI nie rozgniewał się wcale, owszem klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— Mówiłeś dzielnie za swoją ojczyzną, dziękuję cię za to! broń swojej ziemi jak możesz; niedługo rozkazał ich uwięzić i sądzić. Skazano ich na śmierć i ucięcie prawej ręki, wyroku wszelako nie dopełniono z powodu śmierci króla. Gdy na tron wstąpił Karol XII, ułaskawił wszystkich będących przy wspomnionem poselstwie. Patkul nie mógł korzystać z tej łaski, gdyż poprzednio uszedł do Polski i naszego miłościwego Pana namawiał, aby śpieszył na uwolnienie Inflant z pod jarzma szwedów. Wahał się August, ale go prymas Radziejowski pomimo oporu całej zwołanej rady zachęcał.

— Cóż było Radziejowskiemu powodem do skłonienia najjaśniejszego Pana?—zapytał Ordon.

— Mówią, mój ojcze, iż stany inflantskie przysłały mu 100,000 talarów za to.

— Rozumiemy! — szlachetne pobudki, a teraz w biednej Polsce krew przelewać będą. O nieszczęśliwa ziemio! kiedyż Bóg dobrotliwy litosnem spojrzy na cię okiem? i otarł łzy z sędziwego lica.

— Tak więc wojna zaczęta grozi nam zniszczeniem, a najjaśniejszemu Augustowi utratą korony.

— A ów Patkul gdzież przebywa?

— Teraz w usługach Piotra Wielkiego zostaje i wielkie mu przysługi czyni. Karol XII gwałtem chce go dostać, dopieroby się pomścił.

— I nikogoż do obrony ojczyzny niemasz?

— Żyjemy jeszcze i ta ręka włada—zawołał z uniesieniem Telembski. Niedługo znajdzie potężny opór i chyba po naszych trupach krokiem dalej na ziemi polskiej stanie. Wojska nasze zgromadzają się zewsząd, szlachta w Sandomierskiem ogłosiła konfederacyę w Dzikowie i każdego za nieprzyjaciela ojczyzny, ktoby szwedowi pomagał, śmierć im nasze kordy zaniosą.

Z rozrzewnieniem przycisnął do łona Ordon młodzieńca.

— Mój synu! — widzę, że prawdziwie krew polska w żyłach twoich bieży, bij tak wrogów ojczyzny, jak i my bili za ś. p. naszego kochanego Jana, któremu niech Bóg udzieli światłość wiekuistą—i uchylił pobożnie głowę.

Tymczasem przygotowano wieczerzę, Ordon, którego wspierał drżące kroki Telembski, wszedł do jadalnej komnaty i usiadł przy swojej Małgosi, a Zosia, siedząc przy ukochanym Stasiu, ciągle wlepione miała oczy w dorodne oblicze młodziana.

II.

Polska w obecnym czasie niniejszej powieści smutny przedstawiała widok. Postępował zwycięzkiemi chorągwiami bohater lodowatej Skandynawii bez oporu, wojska saskie rozbite, August zmuszony ze stolicy uciekać, w kraju mnożyły się coraz większe partye, które wzajem z sobą walczyły jak nieprzyjaciele i najezdcy, a wszystkiego sprawcą i podżegaczem był Michał Radziejowski, prymas i kardynał. W Litwie wybuchła wojna domowa między Sapiehami a szlachtą litewską, co jeszcze więcej pogorszyło i stan Polski i los samego Augusta.

Oburzona szlachta litewska dumą i przewagą domu Sapiehów, gdy ci wszelkie zajęli dostojeństwa i szafarzami urzędów dla swoich stawinogów byli, ogłasza konfederacyę i zbiera się licznie pod Olkiniki. Sapiehowie zgromadzają wojska Rzeczypospolitej, obiedwie strony przygotowały oręże, krwi bratniej chciwe; stoczono bitwę, w której Sapiehowie na głowę porażeni, jeden z nich, koniuszy wielki litewski, otoczony z 1,500 jazdy i wzięty w niewolę, na szablach rozjątrzonej szlachty rozniesionym został. Sapiehowie, zgnębieni i zubożeni, szukali wsparcia u króla Augusta, ale Radziejowski tyle zabiegami swemi dokazał, że ci. nieufni i podejrzliwi, złączyli się z Karolem XII.

Tak więc nietylko zwycięzkim orężem, ale

niezgodą wéwnętrzną wkorzeniał przewagę swoją w Polsce król szwedzki, siłą pomoc w Radziejowskim znajdując, który zaprzysięgłym był wrogiem Augusta, a ta niechęć oddawna była widoczną.

Gdy bowiem zakończył życie pogromca Turków, Jan Sobieski, gdy Marya Kazimiera tyle zemstą uniesioną była na syna swego, księcia Jakóba, iż mu zagrodziła drogę do tronu ojca, między wielu kandydatami odznaczali się książe de Conti, którego stronę zapłacony wspierał Radziejowski i August elektor saski, chociaż przybył do Gdańska, nie łudząc się nadziejami zwodnemi Radziejowskiego, wolał wrócić do Francyi, gdzie spokojnie i w lubem zaciszu życie przepędzał, niż niepewnym bojem dobijać się niepewnej korony. Radziejowski, chociaż opuszczony od niego, dumny, aby się uniżyć Augustowi, podał mu warunki, pod któremi go dopiero uzna za króla polskiego. To najlepszym jest dowodem jego zarozumienia, miłości własnej i niepohamowanej duszy, co wszystko boleśnie zranił król August, gdy odrzucił podane warunki, a Radziejowski musiał zdać się na łaskę monarchy; odtąd był zaciętym wrogiem, a każdy czyn jego znamionowała zemsta, którą oddychał. On namówił Augusta do zaczęcia wojny szwedzkiej, tak nieszczęśliwej dla Polski, on zdradnie zwabiwszy do Warszawy osadzonej Szwedami panów radnych, zmusił do detronizacyi Augusta, on niezgody domowe podsycał, rozpleniał, słowem wszelakich nieszczęść był powodem.

Los prześladował Augusta, w 12,000 wojska Rzeczypospolitej i 12,000 Sasów cofał się przez Sandomierskie do Krakowa. Szlachta polska jedna wspierała w nieszczęściu króla, druga żądała nowej elekcyi. Wtenczas to wsławił swoje imię Szmigielski, starosta poznański, potężny mściciel obrażonego majestatu Augusta, który zwycięzkiemi podjazdami zachwiał aż dotąd pewną i nieprzełamaną potęgę Karola XII. Był on postrachem szwedów, samo imię jego ze drżeniem wspominali.

August strącony, ogłoszono wolną elekcyę pod bagnetami szwedów.

Przystępując do kreślenia dalszego ciągu powieści, należy chociaż pokrótce wspomnieć o kurpiach, jako dotąd mało, prawie zupełnie nieznanych. Kurpie, jest to, o ile się zdaje, pokolenie jednego szczepu z mazurami, które osiadło nieprzejrzane lasy mazowieckiej ziemi; szczególnem ich zatrudnieniem myśliwstwo i pszczół hodowanie. Jeżeli krakowiak, sandomierzak i góral mają sławę z odwagi i męztwa, nie ustąpią im w niczem kurpie. Nazwani tak zostali od obówia ze skóry lub kory lipowej, które zwyczajnie noszą, w tej stronie zwane kurpie, jak w Karpatach kierbce, na Rusi postoły, w innych prowincyach łapcie lub chodaki.

Zręczni w celnem strzelaniu, odważni do podziwienia, są przytem lubieżni i mściwi.

Chaty mają porządne, w których jako sprzęt najpierwszy ujrzysz na ścianie strzelbę i torbę. Przesądni i zabobonni jak inne pokolenia, mają swoje wyłączne, szczególnie gusła myśliwskie, z których wiele niniejsza obejmuje powieść. Siedziby własne uważają jakby kraj oddzielny, a za stolice kurpiów liczą się Myszyniec i Ostrołęka, za własne rzeki Narew i Omulew.

Imię kurpiów zaczęło głośno słynąć od czasów walki ze Szwedami, a zręczność w strzelaniu uwieńczyli myśliwi przysłowiem: „Strzela jak kurp", co było najlepszą pochwałą doskonałego myśliwca.

III.

— No, mój Stasiu! — mówił stary Ordon do Telembskiego — zapewne zabawisz z nami dni kilka?

— Niewiem ojcze, — odpowiedział — radbym z duszy — i spojrzał na Zosię — jakże mi tu przyjemnie wypoczywać po trudach.

— Stasio jak zechce, to i zabawi — rzekła pani Ordonowa — zapewne nic niema pilnego na dworze pani wojewodziny.

— Moja matko! czekam co chwila listu, ważne tam zajść dotąd mogły zdarzenia; pani wojewodzina jest wyższą nad płeć swoją.

— Słyszałem o tem, ze to dziwna białogłowa: poluje jak mężczyzna, dzielnie włada kordem.

— I teraz go dobędzie — przerywając Ordonowi, zawołał w zapale Telembski — dobędzie w obronie praw i obrażonego majestatu najjaśniejszego Augusta. Jakbym słyszał, że już odgłos trąb i kotłów na jej dworze zapowiada wojnę, wojnę krwawą najezdnikom naszej ziemi.

— O! przyjechał jakiś posłaniec — rzekła Zosia, stojąc w oknie — widać, że od znakomitej osoby, bo u słupa przy złotem kółku konia przywiązał.

Było to albowiem starożytnym zwyczajem w Polsce, że na podwórcu przed domem panów

i znakomitszej szlachty stał wkopany słup wysoki, przy którym znajdowały się trzy kółka, do których wiązano konie. Kółka żelazne, srebrne i złote: u żelaznego przywiązywał lejce wieśniak tylko, u srebrnego szlachcic, a u złotego posłaniec znakomitego pana. Zachował ten zwyczaj i Ordon, a lubo kółko w miejscu do tego było mosiężne, lekko pozłacane, wszelako nazywano złotem i Zosia dla tego uwiadomiła, że posłaniec u złotego kółka przywiązał konia.

Niedługo wszedł Jan Huczko, pachołek przywiązany szczególniej do Telembskiego, i z niskim ukłonem oddał mu list.

— Od kogo? — zapytał niespokojny.

— Od jaśnie wielmożnej pani.

Telembski prędko oddarł pieczęć i przeczytał te słowa:

„Za odebraniem tego listu natychmiast waszmość pospieszysz do Myszeńca drogą, jaką ci wskaże posłaniec umyślny.“

— Cóż się tam stało nowego? — zapytał pacholka.

— A Bóg wie, co się tam dzieje — wielmożny panie, odpowiedział. — Na dworze jaśnie wielmożnej pani, mnóstwo ludu zbrojnego zbiera się coraz więcej, po wsiach uderzono na gwałt, w lasach precz pozawalano drogi, nacięto drzewa, pokopano rowy, napuszczono wody, żeby utrudzić przejście Szwedom; bo słychać, że przez nasze lasy chcą przechodzić. Wiele i z panów szlachty się najechało, mówili, że czekają na jakiegoś wielkiego pana, jakiegoś starostę.

— Ruszaj, mój Janie! — zawołał Telembski — i okulbacz konia, niech będzie w pogotowiu.

Huczko z niskim ukłonem odszedł i pospieszył do stajni.

— To i pan Stanisław odjedzie? — rzekła z rumieńcem, niewinna Zosia.

— Muszę! — była cała jego odpowiedź, całe usprawiedliwienie, jednakże bolesne westchnienie i łza cicha najlepiej świadczyły, ile go to kosztowało.

— Komu w drogę to i czas — rzekł stary Ordon — ja napiszę parę słów do waszmości benefaktorki, była ona zawsze łaskawa na Ordonów i Telembskich, jako i jej ś. p. małżonek: a wy, moja kochana Małgosiu, zaopatrzcie Stasia na podróż w potrzebne wiktuały.

Podniósł się ze swego krzesła i przeszedł do sypialnej komnaty, dla napisania listu; pani Ordonowa pospieszyła do spiżarni. Telembski zbliżył się do zasmuconej Zosi, niemogącej łez wstrzymać.

— Moja Zosiu, nie płacz, Bóg dozwoli, że się jeszcze widzieć będziemy i żyć szczęśliwie.

Zosia wsparła głowę na jego ramieniu i przycisnęła mocno rękę do swego serca.

Była to zbyt bolesna, zbyt rozrzewniająca chwila dla Telembskiego; trzymał w objęciu swojem niewinnego anioła, który w nim tylko swoje szczęście, swoją przyszłość i świat cały upatrywał, przycisnął do serca ukochaną Zosię i z zapałem w różane pocałował usta.

Wkrótce Ordon przywołał go do siebie.

— Masz waszmość list do jaśnie wielmożnej wojewodziny, wiemy, iż łaskawem okiem przeczytać go raczy. Niezapomnimy tu o was, mój kochany Stasiu, czekać was będziemy z Małgosią i Zosią.

Telembski ucałował rękę Ordona, a Małgosia nadeszła niedługo i sama.

— No, jużem cię uprowidowała, masz dla siebie czworo kurcząt pieczonych, szynki kawałek, chleb, ser, masło młode i pieczeń huzarską, a dla pachołka dałam parę półgąsków świeżych.

Huczko wyprowadził ze stajni konie na podwórze; Zosi żal serce ścisnął, rzewnemi zalała się łzami. Telembski pożegnawszy rodziców, przybiegł do Zosi.

— Bądź zdrowa, moja droga, moja kochana Zosiu!

— Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi! mój Stasiu, ale jakieś mam smutne przeczucie, że się już nie zobaczymy: zachowaj to odemnie, może cię kiedy od złego wypadku ustrzeże. I podała mu szkaplerz swojej roboty, z Matką Boską Częstochowską.

Telembski ucałował Zosię i ze łzami wybiegł na podwórze, dosiadł zręcznie rumaka, jeszcze raz skłonił się państwu Ordonom, uchylił czapki i dał ostrogę. Bułanek spiął się w górę i poskoczył z prawej nogi galopa. Zosia stała przy oknie, ocierając łzy często, bo jej zasłaniały Stasia, który odjeżdżał i niknął coraz w pośród wysadzanej lipami drogi, Ordon wraz z żoną patrząc za nim, wciąż żegnali i błogosławili:

— Niech go Bóg szczęśliwie i zdrowo prowadzi!

Zosia, ażeby łzy ukryć przed rodzicami, usiadła przy kolebce dwuletniej Jadwisi, siostry swojej, chciała jej nucić kołysząc, ale zamiast śpiewu, łkanie rzewliwe w alkowie słychać było.

Telembski powoli zwolnił galopa, bo się Bułanek spienił, a obracając się do pachołka:

— Cóż tam więcej słychać?

— Nic więcej, wielmożny panie, spodziewamy się tylko, że tęgie załebki będą z temi Szwedami. Na dworze pan podstarości mówił: że z Boską pomocą damy Memcom radę; że nasz król, co teraz uciekać musi, powróci, a wtenczas każdego hojnie nagrodzi, co za jego sprawiedliwą stroną trzyma, o każdym pomyśli; że do naszej pani i sam król niedługo przyjedzie.

— Gdzież wojewodzina? — zapytał znowu.

— Jaśnie wielmożna pani we dworze przyjmuje i częstuje gości, a wino leje się jak woda. Kucharz Maciej dobrze poci czoła, to też się na wszystko gniewa. Przywieźli wiele prochu i rozdają go strzelcom i Kurpiom, żeby sobie porobili ładunki, każdy, jak to mówią, teraz się stroi i zbroi. Po nowym roku pani wiele podarunków rozdała; Kasia mi mówiła, że jakiś śliczny podarunek dla wielmożnego pana ma sama pani zachowany, ale prosiła mnie o sekret na miłość ran Boskich, żebym nawet i panu nic nie mówił.

— Nie dotrzymałeś mój Janie słowa — rzekł z uśmiechem Telembski.

— A kiedy bo ja ino nie mogę nic utaić przed wielmożnym panem — odpowiedział z prostotą i skrobiąc się po głowie — i jak co wiem, to prawda nic nikomu nie gadam, ale panu muszę powiedzieć i lżej mi dopiero na sercu.

— Dziękuję ci, mój Janie, wiem, że mnie kochasz — i podał mu z dobrocią rękę: Huczko ze łzami ją ucałował.

— Ale mi żal było panny Zosi — rzekł po chwili — biedny gołąbeczek, jak też to płakało! widać, że mego paniska bardzo kocha, o i stare państwo sami także kochają. Dworscy mi mówili, że pana jak syna już swego mają.

Telembski z rozrzewnieniem słuchał Jana, na ostatnie jego słowa:

— O dałby Bóg Najwyższy! — pomyślał — ażebym spełnił ich życzenia.

— To już dobra mila od Jazdowa — zawołał Huczko — bo widać Czerwoną karczmę, a tam poczciwy arendarz, trzebaby spocząć koniom, żeby siana przejadły.

— A ty się wódki napił — rzekł Telembski.

Jan uchylił czapki z uśmiechem, stanęli przed karczmą, pachołek wprowadził konie do stajni, kazał dać siana, wychylił półkwaterek szumówki, widać, że smacznej, bo aż splunął i wąsa pokręcił. Telembski wszedł do izby napełnionej chłopstwem, żydami i kilkunastu szlachty wracającej z blizkiego kiermaszu.

IV.

Przy wielkim stole, zastawionym flaszami wódki i miodu, siedział w środku szlachcic Zaręba, przy nim młody Załyński z pod Łukowa z jednej, z drugiej strony Puchała od Częstochowy, ważną zajęci rozmową.

W jednym rogu dalej rozparty kiwał się nad kwaterką wódki pan majster, jak go nazywano, szewc z Denkowa, który z zapałem wykrzykiwał i pięściami nawet chciał dowodzić innym, że jest najstarszym majstrem, bo z dziada pradziada szewcem, a inni to nowicyusze, bo zaledwie mogą wywieść, że z ojca szewcami zostali. Resztę stołu osiedli wieśniacy już dobrze podpici i kilku żydów z kramami, co właśnie zbywszy korzystnie towary, wracali z jarmarku.

Telembskiego uprzejmie i z uszanowaniem przyjął arendarz, a żona jego fartuchem wytarła ławę przy kominie i zapraszała do zajęcia miejsca. Usiadł, w milczeniu przysłuchując się tej wrzawie karczemnej.

— A wiesz co wasan!—rzekł młody Załyński do Zaręby — że to nie bajki i jać tam niedaleko mieszkam.

— Ja nie zapieram tego—odpowiedział Zaręba—tylko byłoby o tem głośniej słychać.

— Daję wasanu rękę i przysiądz gotów,

szwedzi z Białej chcieli napaść kościół Paulinskí w Leśnie, a to wioseczka o milę od Białej, klasztor sam wielki murowany, ogromne organy, a piszczałki takie grube, że jabym się, jak wdzieję nowy kożuch, w każdej obrócił.

Na te słowa wszyscy uwagę zaczęli zwracać i ruszać głowami na znak podziwienia, sam pan majster umilkł i spluwając co chwila, ustawicznie: „to prawda, to prawda!" powtarzał.

Załyński, widząc, jak go całe zgromadzenie słucha, z większym zapałem ciągnął opowiadanie:

— Bogactwa wiele, bo tam każdy pan, szlachcic i chłop nawet, doznawszy jakiego cudu, zostawiali wota. Szwedy ułakomili się i pod wieczór ruszyli, już byli blisko klasztoru, aż tu na grobli zastępują im rycerze, a wszyscy białe żupany mieli, czem przestraszeni, uciekli — śmielsi jednakże, przespawszy noc w lesie, rano wpadli do klasztoru i zaczęli rabować, ale ich niewidoma siła powyrzucała oknami. Na pamięć tego pomalowano obrazy i każdy je w kościele widzieć może.

— A dawno to?—zapytał Puchała.

— Niema kwartału—odpowiedział Załyński.— To niedaleko odemnie, siedm mil tylko, nieraz tam na odpuście bywaliśmy.

— Nic dziwnego — rzekł Zaręba, pokręcając siwego wąsa — toć Matka Boska za mojego ojca odpędziła najprzód szwedów od Częstochowy, a niedługo z całej Polski, może i teraz będzie naszą patronką; bo co źle idzie, to źle, nasz król uciekać musi, Warszawę szwedzi zajęli i nikt się tej żelaznej głowie oprzeć nie zdoła.

— To kłamstwo!—zawołał z gniewem, w milczeniu siedząc dotąd w rogu stoła, młody szlachcic, którego nikt nie znał. — Na łeb żelazny mamy

kordy żelazne, mężne serca i pewne ręce; pan starosta Szmigielski pokazał, że można bić i pobić szwedów.

Wszyscy spojrzeli na niego; był to młodzieniec zaledwie 20 lat wieku liczący, wysoki, silnej postaci, twarzy przyjemnej. Miał na sobie granatową bekieszę, pod nią kaftan łosi, pas takiż z dwoma pistoletami, przy boku wisiała krzywa Augustówka, na głowie z czarnym barankiem karmazynowa konfederatka.

Telembskiego zwrócił także uwagę na siebie, zbliżył się więc do niego.

— Mój bracie, zapewne wiecie, gdzie się pan starosta obraca?

— Dla mężnych i poczciwych niedaleko, dla tchórzów i zdrajców zadaleko.

Telembski porwał go za rękę i kilka słów rzekł z cicha; młodzieniec ochłonął z zapału, uchylił czapki i wyszli razem z izby.

— Co to za ptaszek opryskliwy? — rzekł Zaręba.—Czy go nie znacie?

— Nikt go nie zna—odpowiedział arendarz.

— To prawda, to prawda!—pomruknął, spluwając, pan majster.

— Może to szpieg szwedzki! — zawołał Puchała.

— To prawda, to prawda! — pomruknął znowu pan majster.

Ta uwaga trafiła wszystkim do przekonania. Puchała, Załyński i kilku innych porwało się od stołu i pobiegli do stajni. Zerwał się żwawo z początku pan majster, ale nie mogąc się na nogach utrzymać, usiadł jeszcze prędzej, ciągle spluwając, spoczął chwilę, dobył z krótkim cybuchem fajki i znowu sie podniósł.

Z wielką biedą wytoczył się przecież na środek izby, ale dalej iść nie mógł, rozkraczył nogi, a nie wiedząc, co z sobą robić, zaczął przyśpiewywać kaczkowatym głosem:

Nie wiecie, chłopaki, jak dziewczyny dostać,
Skłonić się matuli, po gorzałkę posłać.

Tupnął dla taktu nogą w podłogę, stracił przez to równowagę i potoczył się aż do komina. Szczęśliwym to wszakże można nazwać dla niego trafem, żeby nie ten skok nagły, byłby nie doszedł tak prędko komina, ani mógł zapalić nałożonej fajki.

Tymczasem Puchała, Załyński i ci wszyscy, co wybiegli do stajni, wrócili.

— Uciekł nam ptaszek, uciekł!—zawołał Puchała—wyśliznął się nam z ręku.

— Cóż to za jeden ten drugi panicz, co mu cicho kładł w ucho?—zapytał arendarza Załyński.

— To Telembski — rzekł głaszcząc czupryne Zaręba — znamy się oddawna, ale paniczyk zhardział, jak do dwora się dostał, boć to powiadają: „Że u dwora nie popłaca cnota i pokora“.

— Prawda, prawda!—znowu się odezwał pan majster.

Nie mogąc się utrzymać na nogach, położył się na stół w połowie i omdlałe oczy zwracał na każdego, co który zaczął mówić.

— Gońmy ich — rzekł po chwili Załyński — przecież się prawdy dowiemy.

— Dobrze! dobrze!—zawołał Puchała, Zaręba i kilku innych, i poskoczyli do stajni.

— Dobrze! — zawołał z nimi pan majster i chciał razem poskoczyć, ale w tejże chwili zwalił się pod ławę i musiał zaprzestać pogoni.

Telembski z nieznajomym młodzieńcem spieszyli, a za nimi Jan Huczko; było to nad wieczorem, słońce zniżało się ku zachodowi, nle widać w polu pracowitych wieśniaków, gdyż właśnie była niedziela, gdzieniegdzie tylko pasterze gnali bydło i owce ku domowi.

— Czy widzi pan? — rzekł Huczko. — Widać ztąd jeszcze wieżę kościoła w Jazdowie.

Telembski spojrzał w tę stronę z westchnieniem i zdawało się, jakby usłyszał odgłos dzwonu na Anioł Pański.

Ona się modli zapewne, pomyślał, modli się i płacze.

Ciężko oddychał, żal mu serce ścisnął, ale niedługo myśl bliskiej walki za ojczyznę i króla przytarła bolesne wspomnienie.

Młody jego towarzysz w milczeniu jechał, gdy znagła Huczko krzyknął:

— A widzi pan, coś ośmiu szlachty pędzi za nami.

Obejrzeli się ciekawie i postrzegli istotnie, jak podsiwiały Zaręba sadził naprzód na gniadym stępaku, za nim Puchała, Załyński i inni.

Telembski z towarzyszem wstrzymali konie.

— Stój no! panie bracie! -- wołał zdala Zaręba.

— Stójcie! stójcie! — krzyczeli inni i otoczyli wokoło.

— Coś ty za jeden? — spytał surowo nieznajomego młodzieńca Zaręba.

— Tylko zdala i nie tykaj—odpowiedział zapytany.

— My musimy wiedzieć, co waszmość za jeden—rzekł wolniej Zaręba, widząc, że błysła szabla ostrzona w silnej ręce przeciwnika.

— Nie macie żadnego prawa!—zawołał z gniewem młody nieznajomy.—A ktoby śmiał mi zastępować drogę lub zbliżać się zuchwale, to mu taką przylepię pamiątkę, że ruski rok przeleży nie lekko.

Telembski ujął się za towarzyszem swoim, dobył Augustówki i groźno zawołał:

— Precz mi z drogi! Czy to szlachta zastępuje, czy rozbójnicy?

Huczko niewiele czekał, dał ostrogę, uderzył w konia Puchały tak silnie, że ten spadł na ziemię; rozstąpili się najeźdźcy, a Telembski z towarzyszem i pachołkiem wyjechali spokojnie.

— Niech ich dyabli porwą! — rzekł Puchała, gdy go podnosili z ziemi, było po co gonić!

— Mój bracie!—odezwał się jeden ze szlachty—dawna przypowiastka: „nie kładź palca między drzwi, palca nie przyskrzypią“.

V.

Odgłos trąb i kotłów rozlegał się daleko po lasach mazowieckich, zapowiadając pochód zwycięzkich Karola XII chorągwi. Zatrzymał się myśliwiec sławny w tych stronach, Borowy, wytężył ciekawe ucho na te nieznajome brzmienia, i przysłuchiwał tonom przeciągłym, które roznosiło echo.

Dyabły czerwone zaglądają w nasze jamy, ale niejeden garniec krwi wytoczą Kurpie, nim zaczną płonąć nasze chaty; dalej żwawo! rzekł sam do siebie, trzeba dać znać do dwora i naszych i rączym poskokiem znikł w gęstwinie.

Niedługo wybiegł na pola, spiesznie zwrócił do dworu, który zamieszkiwała wdowa po wojewodzie rawskim, Działyńska. Budowla jego była jak zwykle niepozorna, z drzewa wystawiona, wewnątrz dopiero przepych i bogactwo uderzały. W około ogrod obszerny ze starożytnemi szpalerami go otaczał, w nim drzewka pod linią sadzone, a trawniki bukszbanem ozdobne. Dom ten obszerny zawierał wiele komnat, których ściany ubierały gustowne wybicia i bogate tureckie lub perskie dywany. Wielka sala obiadowa miała chór nadedrzwiami, gdzie nadworna muzyka uprzyjemniała czas długiego obiadu lub wieczerzy; w jednym rogu na machoniowych ligarach stała spora beczka srebrna, napełniona węgrzynem, z niej w czasie uczty mógł

każdy do woli puchary nalewać. Na ścianach wisiały wielkie obrazy rodzinne i królów polskich; w niży między oknami błyszczała zawieszona zbroja szmelcowana i szczerozłota tarcza, a na niej w płaskorzeźbie Jan Sobieski z husarską chorągwią rozbija nienaliczone zastępy turków i tatarów. Poboczne komnaty cechowała na przemiany prostota z przepychem, w alkowie stał wielki zegar z kukawką, jako osobliwość szczególna.

Pani wojewodzina siedziała zasmucona, niedaleko wielkich podwoi stał w milczeniu i z uszanowaniem Telembski, przy nim młody nieznajomy, który po chwili przysunął sobie krzesła i usiadł. Ten postępek zdziwił Telembskiego, gdy przeciwnie wojewodzina żadnej na to niedawała uwagi. W tej chwili weszło kilkunastu znaczniejszej szlachty, a za nimi wbiegł Borowy.

— Jaśnie wielmożna pani!—zawołał—już są, już są! od mogiły upiora zajrzałem czerwonych dyabłów.

Jak piorunem rażony porwał się młody nieznajomy. Działyńskiej zajaśniały ogniem czarne oczy.

— Na konie! do broni!—zawołała z zapałem—podać mi zbroje! Telembski naprzód, a waszmość, rzekła obracając się do nieznajomego młodzieńca, wiesz już stanowisko. Borowy! do pierwszych zasieków, otoczyć w około, bronić się do upadłego. Posłaniec czy nie wrócił?

— Nie, jaśnie wielmożna pani—odpowiedział jeden z dworzan.

— A więc uderzyła nasza godzina! w Bogu ufność a pewne zwycięztwo.

Karol XII na czele zwycięzkiej 7000 armii wszedł w lasy mazowieckie drogą od Torunia; zaledwie pięć mil uszedł, staje przed nim Kurp prosty.

— Co on chce? — zapytał otaczającą siebie szlachtę polską.

Kurp zdjąwszy swój kapelusz wstążką czerwoną ozdobny. Przyszedłem tu od swoich powiedzieć ci królu, że jeżeli te warunki przyjmiesz, które podamy, to cię przepuścimy przez nasze lasy, a jak nie to i niepuścim, choćby się i bić przyszło.

Roześmiał się głośno Karol XII, gdy mu to wytłómaczono.

— Co, ja z tymi chłopami bez butów mam się rozprawiać? precz mi z oczu! powiedz swoim, iż przy łunie ich chałup będziemy się grzali, bo to zimno teraz.—Kurp spojrzał bystro w oczy Karolowi i znikł w nieprzejrzanym lesie.

Piechoty szwedzkiej regiment w rozsypce idąc, nagle rzęsistym ogniem rażony ze wszystkich stron, cofnął się bez zwłoki; droga była wązka, rozwinąć siły nie można. Niecierpliwy Karol każe iść naprzód, szwedzi z okrzykiem rzucają się mężnie i prawie wszyscy giną.

Trzęsły się dęby odwieczne od huku strzelby i wrzawy wojennej. Niedźwiedź wystraszony z legowiska z ponurym mrukiem uchodził, a dziki tur, wstrząsając grzywą zapienił długą brodę z gniewu i wściekłości, oczy błyszczały mu jak węgiel, rzucał się w gęstwinie i za każdym poskokiem chrzęst łamanego drzewa daleko słychać było.

Widząc tak niespodziany opór, sam Karol XII zsiada z konia, idzie na przebój, rzuca się pierwszy w rów głęboki i zdobywa szaniec niejako, gdyż były to drzewa zwalone, obronne wykopem, z za których kurpie razili celnemi strzały.

Za zdobyciem tej twierdzy, Kurpie rozsypali się w jednej chwili i spieszyli do drugiej niedaleko położonej; ale szwedzi umieli korzystać z położenia, gdyż kawałek pola dozwolił i szmigownicom działać i jeździe się rozwinąć, dla tego też walka była tu zaciętszą i krwawszą. Karol wsiadł na konia, kazał zatoczyć działa, a sam stanął na czele jazdy.

Ale pomimo iż używał większej siły, nierównie większego doznawał uporu, grzmiały szmigownice, łamały się drzewa, ale na krok dalej szwedzi postąpić niemogli.

Tymczasem Działyńska własnym przykładem zachęcając, wszędzie była, widziano ją zawsze w największem niebezpieczeństwie.

— Jeszcze chwila—wołała—a noga szwedów nie ujdzie!

Jakoż niedługo, znagła w około powstały groźne okrzyki w pośród ogromnych lasów. Szwedzi poznali że są otoczeni, i w tymże czasie Telembski na czele jazdy ukazuje się, uderza sokolim rzutem na działa i po krótkim oporze zdobywa. Jazda szwedzka przybywa swoim w pomoc, ale napróżno, rozbita ucieka. Dwóch silnych drabantów wszakże przypierali Telembskiego, jeden z nich już wymierzył cios śmiertelny, gdy ugodzony w pierś kulą spadł na ziemię. Telembski chciał ujrzyć komu winien ocalenie. Ten cios zbawczy był z ręki nieznajomego młodzieńca.

Szwedzi ciśnieni ze wszystkich stron, napróżno bronili się z rozpaczą, padali stosami, a trupy ich podnosiły się wśród lasów jak dawne kurhany. Karol XII spiął konia i rzucił się naprzód zapamiętale, ale koń ugodzony, pada, z nim postrach tylu narodów, Karol; odgłos zwycięzkich Kurpiów

rozlega się w około, a plac boju, ten cmentarz tylu ofiar, nieprzejrzane tumany dymu zakryły.

Zwycięztwo było zupełne, cała armia szwedzka zginęła, gdy w tejże chwili dają znać wojewodzinie, że do tysiąca szwedów opanowało Ostrołękę, i na cmentarzu kościelnym coraz się więcej warują. Działyńska zostawia Telembskiego, sama przywoławszy nieznajomego młodzieńca, pospiesza ku miastu.

Szedł na czele oddziału Kurpiów, Borowy, ale po dwu milowej drodze kazał stanąć do spoczynku; była już blisko północ, rozpalono ogniska. Działyńska strudzona, spoczywała pod rozłożystym dębem, rozwieszono dywany, które od wiatru i dymu chroniły. Nieznajomy młodzieniec usiadł przy najbliższem ognisku i pogrążył się w głębokiem dumaniu.

Szum wiatru przerywał tylko milczenie nocy, spokojność zaległa te lasy, które przed chwilą drzały od huku dział i strzelby. Borowy, grzejąc się przy ognisku, rozprawiał o wczorajszej walce, gdy znagła głos sowy na poblizkiem usłyszał drzewie.

Sowa na dachu kwili
Umrzeć komuś po chwili.

— W imię Ojca i Syna!—zawołał przerażony, żegnał się ustawicznie i spluwając trzy razy:—idź w swoją drogę, dyable, nie kuś poczciwej katolickiej duszy!—ale śmiech trwał ciągle, a Borowy nieśmiał oczu zwrócić w tamtą stronę.

Niedługo świtać zaczęło, wojewodzina dała znak, ruszono dalej, przebyto na przygotowanych łodziach Narew i zbliżono się nieznacznie pod Ostrołękę.

Szwedzi na cmentarzu kościelnym mocno się obwarowali, drzwi zawalono, po oknach rozstawiono celniejszych finlandzkich strzelców, a gęste czaty niedozwalały raptownego napadu. Dowodził niemi pułkownik Rebinder, żołnierz dzielny i doświadczony.

Wszystko to rozważyła Działyńska, trzeba było walkę stoczyć otwartą, zaciętą, zdobywać mury warowne, a oddzielnie zdobywać kościół. Ale czas był drogi, Kurpie z okrzykiem poskoczyli naprzód i od razu zbliżyli się pod same mury, dalej wszakże postąpić niemogli. Działyńska widzi zawady trudne, w jednej chwili natchniona szczęśliwą myślą, wydaje nowe rozkazy; wkrótce ze stodół i obór miejskich Kurpie wynoszą duże pęki słomy i zboża i z temi rzuciwszy się pod mury, darli się jakoby po drabinach.

Walka była krwawą i wiele legło, pierwszy skoczył w środek cmentarza Borowy, a z toporem w ręku rzucił się do bramy i zaczął wyrąbywać; za nim stanął nieznajomy młodzieniec i pospieszył mu na pomoc; widząc otoczonego od przemożnej liczby, otworzył sobie szablą drogę, przerzedził znacznie napastników Borowego, który kilku już powaliwszy, z jednym się pasował. Był to grenadyer szwedzki, olbrzymiej postaci, ale i Borowemu niezbywało na sile, gdy toporem władać nie mógł, pięścią tak silny cios wymierzył w prawe oko, że aż w mózgu ugrzęzła mu ręka.

Wyrąbano wrota, Kurpie ze wszystkich stron wpadli, zdobyli kościół, szwedzi po większej części wyginęli, resztę wzięto w niewolę. Rebinder z kościoła potrafił się wymknąć, już uchodził za murami, gdy go ujrzał i doscignął Borowy, porwał niedźwiedzią siłą za kark, rzucił o ziemię, rozbroił i wojewodzinie przystawił.

— Jaśnie wielmożna pani! przyprowadziłem

tu szweda, co się chciał wymknąć jak piskorz, ąlem go pochwycił, widać, że to jakiś starszy.

Działyńska uprzejmie przyjęła pułkownika, co niezmiernie zdziwiło Borowego, który nie żałował pięści swojej przed chwilą.

— Panie pułkowniku!—rzekła—czuję jego położenie, ale los wojny zawsze jest niepewny; Karol XII wczoraj go doznał na sobie, a dziś dopiero wpan.

— Jakto?—zapytał z podziwieniem Rebinder—więc mój król niezwyciężony....

— Zwyciężonym został—odpowiedziała Działyńska—jeśli nie wierzysz, oto trofea i wskazała na pięć sztandarów szwedzkich.

— Poznał je Rebinder, przybiegł a całując ze łzami: o mój królu!—zawołał i umilkł, bo żal mu więcej mówić nie dozwolił.

Wojewodzina rzekła po chwili.

— Jesteś wpan wolny, gdzie zechcesz, każę cię bezpiecznie odprowadzić.

— Gdzie mój król? chcę losy jego podzielać.

— Tam!—odpowiedziała, wskazując na niebo.

Rebinder zakrył rękoma oczy, ażeby nie ukazać łez rzewliwych przed wspaniałą niewiastą.

VI.

Noc ciemna przerwała bójkę krwawą. Karol XII przedzierał się przez gęstwinę lasu, bez wojska, sam, tylko w towarzystwie przywiązanego drabanta, z Węgier rodem.

— Niegodziwa droga, pomrukiwał drabant i przeklinał zwyczajem swego narodu.

Karol wydostawszy się na małe pole, stanął na chwilę, zdjął swój kapelusz, zatarł włosów, poprawił bawolego pasa, obejrzał pistolety i wskazał na prawo, gdzie błyszczało małe światełko.

— To sem swieti sia u sedlaka, czy jego oswieconost' chce...

Karol dał znak głową, że nie pójdzie do chaty, pokazał tylko, żeby mu co jeść przyniósł.

Drabant swoją burkę wyszywaną rzucił na ziemię pod sosnę, Karol usiadł zmordowany, sam zaś przysporzył kroku spiesząc do chaty.

— Przeklęte zdarzenie! — zawołał po chwili król szwedzki, — najlepsze straciłem pułki, któż mógł przewidzieć, że chłopy bez butów potrafią i bić się tak dobrze i tak celnie strzelać; ale oddam im z nasypką, krwawo się pomszczę tej klęski!

Tymczasem drabant zbliżał się do chaty, lecz coraz zwalniał kroku, przed samemi drzwiami za-

trzymał się z obawą, po chwili uderzył w odrzwia rękojeścią pałasza.

— Najsłodsze imię Jezus! kto tam? — odezwał się bojaźliwy głos kobiecy.

— To sem ja... niech raczą otworyt dwery.

— Jaśku, Jaśku! dyć pode drzwiami jakiś memec stoi.

Jasiek wyjrzał oknem, a zobaczywszy drabanta:

— A wielu was tutaj?

— Sem ja jeden, paniczku.

Jasiek otworzył drzwi, a drabant wszedł bojaźliwie do izby.

Na kominie palił się wielki ogień, pod oknami stała ława, przed nią stół duży, nakryty białem płótnem i trzy misy. W rogu ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej ubrany w kwiaty, przy nim obraz Matki Boskiej Gidelskiej, gdzie wieśniak wyorawszy cudowny wizerunek, klęka wraz z wołami; resztę ściany zdobiły rysunki rozmaitych świętych, widok czyśca i piekielnego ognia. W przeciwnej stronie wisiały na kółkach strzelba, borsucza torba i myśliwczy kordelas.

— Chwalem Pana! — odezwał się drabant, kłaniając nizko.

— Zkąd Pan Bóg prowadzi?—zapytał Jaśko.

— My sem u szwedów służym, pobili nas dneska, my utiekali y pryszli prosyt, cy niemaju czem posilit hudnoho clowieka.

— Dobrze wam skórę wytrzepaliśmy, nieprawda? — rzekł śmiejąc się Jaśko i klepiąc po ramieniu drabanta. A wasz król zmykał dobrze, jak zając przed chartami, schował się jednak i może śpiewa:

Skrył się zając pod miedzą,
Myśliwi o nim nie wiedzą.

ale nie długo i jego złapiema. — No cóż robić, dajcie no matulu gorzałki, wszak się panie żołnierzu napijecie?

— O! sem dobre, bo wielka zima, dajte, dajte palanku.

Małgorzata postawiła flaszę wódki, rozweseliła się twarz węgra, nalał kubek i wychylił do razu, siadł przy kominie, a trzymając ręce nad ogniem:

— Jako sem tu dobre, tieplo, witor ne wiwa.

Jaśko tymczasem przyglądał się dziwnemu ubiorowi drabanta, a każdy jego szczegół uderzał go mocno.

Miał na sobie jedną kurtkę wdzianą na rękawy, wyszywaną w różne wzory czarnym sznurkiem, druga także sama zwieszoną była z lewego ramienia, spodnie obcisłe równie wyszywane, buty krótkie ze srebrnemi frendzlami u wierzchu, na boku z takiemiż guzikami pas skurzany, wielki pistolet i długi prosty pałasz.—Na guziku od kurtki wisiał worek do tytoniu z białej skóry, haftowany w różne kwiaty jedwabiem. Za cholewą wysoka węgierska fajka z krótkim cybuchem.

— Sem oni dobre strelaju, rzekł po chwili węgier.

— Tak wszyscy Kurpie umieją i wasz król byłby zginął, żeby z dyabłem sprawy nie miał.

— Nasz kral sem dobry katolik.

— Co mi mówita, ma pas taki od dyabła, co go się kula nie ima; ale nasz Borowy wystarał się srebrnego guzika, a takim nietylko szweda, ale i samego dyabła nawet zabije kiedy wiatrem kręci.

Wtem dały się słyszeć różne głosy przed chatą, zmięszał się drabant i nieznacznie sięgnął do pasa.

— Otóż nasz ojciec i Borowy,—zawołał Jaśko.

Węgier podniósł się z ławy; wszedł naprzód Stanisław Bąk, ojciec Jaśka, a za nim Borowy, kurp olbrzymiego składu ciała. Ubiór ich był jednakowy: kapelusz okrągły, spodnie opięte, kurpie na nogach, na ramionach gunia kafowego koloru, podobna góralskiej, na niej torba borsucza i strzelba; Borowy przy boku szeroki miał kordelas.

Zdziwiła ich obecność nieznajomego.

— Co tu za memec? Jaśku! — zapytał surowo Borowy.

— Jakieś poczciwe to, ale umie trochę i po polsku, prosi o schronienie, służy u szwedów.

— Trzebaby mu karku jak tamtym nakręcić, ale chce gościnności, jest bezpieczny, bo inaczej jakbyśmy się spotkali, niemiałby czasu i Jezus, Marya, Józef wykrzyknąć, a jużbym go zdusił; gdzie was więcej?

— Druhi sem sia ostal w lisi.

— Czemu nie przyszedł?

— Jak sem dozwolą, to pryjde.

— No ruszaj do niego i powiedz niech przyjdzie, niech się niczego nie lęka, już wystrzelaliśmy szwedów, sam król uciekł, a na takich biedakach mścić się nie będziema.

Węgier skłonił się, nałożył fajkę, zapalił i wyszedł, by sprowadzić do ciepłej izby Karola XII.

Stanisław Bąk zawiesił na kołku strzelbę i torbę, zrzucił gunię i grzał się przy ogniu. Borowy podobnie się rozgościł, a dobywszy z pochwy obosiecznego kordelasa:

— Patrzcie, Staśku! jeszcze krew po dyable czerwonym, bronił się tęgo, alem go zakłuł jak wieprza.

— A nasza pani, jak dzielnie dowodziła, jak wołała na naszych.

— Mało co uszło, i to mnie dziwi, że ci dwaj uciec mogli, ciekawym czy to nie panowie starsi.

— Gdzie on tam pan starszy, — rzekł Jaśko, — gdyby on był pan starszy, toby mnie nie nazywał paniczem.

— To nic nie znaczy, głupi zamorzec nie umie po polsku, a w strachu to i królem ciebie nazwie.

— Bójka była nie lada!—zawołał Borowy— i naszych dużo legło; a widziałeś tego młodego na koniu, co był wszędzie najpierwszy? jakbym go widział teraz: wysoki, blady, nos duży, oczy wielkie, wszyscy mówili, że to sam król; strzelali nasi, strzelali, a żaden go nie trafił, i ja nabiłem srebrnym guzikiem, zmierzyłem...

— I zabiłeś go? — przerwał Jaśko.

— Wiem, że koń padł, ale on się porwał niewidziałem go potem. Żałuję, żem go wziął za nisko, trzeba było wyżej, pod lewe żebro, a byłby nie wstał.

— No! bez prace, nie idą kołace: napijwa się wódki — rzekł Bąk, — wiatr przejął mnie do kości.

— Ale ciepło było w ogniu, tam człowiek niemiał czasu myśleć, czy wiatr wieje, czy słońce piecze.

Nalał sobie po tej przemowie szklankę szumówki Borowy i wlał od razu w ogromne gardło.

Małgorzata tymczasem krzątała się koło wieczerzy, w dużym garnku nastawiała tatarczane[

kaszy, osobno kartofle, w rynce smarzyła kawał na omastę słoniny.

Jaśko w wielkim dzbanie przyniósł piwa i postawił na stole.

— Trzeba coś przysporzyć dla tych gości, usmarzcie no Małgosiu kiełbasy — rzekł Bąk, — a ty Jaśku przynieś-ta słomy, żeby na czem się przespali.

Jaśko poskoczył do stodoły, zarzucił na plecy dwa pęki słomy, przyniósł do izby i rozesłał na ziemi, Małgorzata usmarzyła już kiełbasy, omaściła kaszę, Bąk położył duży bochenek chleba na stole, Borowy drugi raz napił się wódki, wszyscy czekali na spodziewanych gości

---

VII.

Dołmaszy pospieszał do uboczy skrytej, gdzie odpoczywał strudzony Karol XII; co chwila oglądał się z niespokojnością poza siebie, czy go kto nie wypatruje, szedł prędko, nie miał nawet czasu wypalić swojej ulubionej fajki.

Noc jeszcze była, księżyc w pełnym przyświecał blasku... nie długo stanął na miejscu.

— „Oświecony kralu! — rzekł, zdejmując swoją wysoką czapkę — trafili sem na poczciwych sedlaków, tam sem prenocowat' w hostinie musim, gazda dobry clowek, prosili sem na noczku.“

Karol nie wyrzekł słowa, wstał i postąpił naprzód. Dołmaszy burkę rozesłaną na ziemi przywdział i szedł wskazując drogę.

— Coś długo, do dyabła, niewidać naszych gości — rzekł Borowy, nalewając po trzeci raz szklankę wódki.

— Musi być daleko, gdzie zostawił swego towarzysza — odpowiedział Bąk.

— Ja uważałem — zawołał Jaśko — że ten zamorzec obrócił drogę ku mogile upiora.

— Święta Magdaleno! — krzyknęła Małgorzata — on tam zdrowo nie wyjdzie, dyć to godzina, w której wyłazi z mogiły! — i odstąpiła bojaźliwie od komina, pozierając w około.

— Pan Bóg z tobą, moja Małgosiu — powie-

dział Stanisław — w chacie nie macie się czego obawiać, wszakże drzwi nie przestąpi, bo na nich krzyż kredą święconą napisany odstrasza przeklętych.

Uspokojona Małgorzata, zbliżyła się znowu do komina i warząchwią mieszała kaszę omaszczoną słoniną, podgarnęła żarzących węgli pod rynkę, gdzie się smarzyły kiełbasy, gdy usłyszano poruszenie na podwórzu. Odskoczyła Małgorzata wylękniona. Jaśko spojrzał bojaźliwie, podniósł się Stanisław z ławy, drzwi otworzył i ujrzał wchodzącego naprzód Węgra, a za nim króla szwedzkiego.

— Długośmy czekali, długo na was — rzekł Stanisław Bąk — ale co odłożone to nie stracone, jeszcześmy nie rozpoczęli wieczerzy.

Karol skłonił głową, zdjął płaszcz i kapelusz; Borowy, stojąc w milczeniu, przypatrywał mu się uważnie. Miał on na sobie mundur granatowy z dużemi miedzianemi guzikami, szeroki pas bawoli, spodnie łosie i ogromne buty. Para pistoletów i długi pałasz, składały całe uzbrojenie.

— No, Małgosiu! podajcie z komina co dał Pan Bóg — i prosząc gości, zasiadł Stanisław na ławce, Karol przy nim zajął miejsce. Dołmaszy niewiedząc gdzie usiąść, zostawał w kłopocie, bał się przy królu, żeby go nie rozgniewał, stanął więc za nim z uszanowaniem. Karol to dostrzegł, surowo spojrzał w oczy, porwał za rękę i posadził przy sobie.

— Matulu! nie żałujcie szwedów do kaszy — zawołał Jaśko, nadstawiając dużą miskę.

Karol na ten wyraz „szwed“ zmarszczył czoło, Dołmaszy się uśmiechał.

— Czy jego oświec... — król surowiej spojrzał mu w oczy, zmiarkował Węgier i rzekł po chwili: — czy oni wieda, to sem slaninu wołają szwedy.

— Nie słoninę, ale skwarków po naszemu, bo to widzi-ta Szwedy dużo nam naskwarzyli biedy, i dla tego u nas tak się zowią. Ale niegniewajcie się, oto mój Jaśko dobry chłopak, ale sobie trochę głupi.

Jaśko z chychotaniem postawił na stole miskę gorącej kaszy, każdy zabrał się do niej z apetytem i Karol nie długo myśląc, wziął drewnianą łyżkę i pożywał ze smakiem.

Borowy siedział na przeciw króla szwedzkiego, wlepione miał ciągle oczy w twarz jego, uważał bacznie każde poruszenie. Po wieczerzy kiwnął na Stanisława i weszli do komory.

— Mój Staśku! — rzekł zwolna — widzi mi się, że to ten sam, co to bywał na przedzie, com do niego strzelił srebrnym guzikiem, może to król.

— I zdaje się wam, kumie, i ja go widział, ale ani krzty nie podobny.

— Gada-ta, gada-ta! pamiętam ci go dobrze, jakbym patrzył na niego, jak na swoim koniu się uwijał, jakiem go wziął na cel i zwalił na ziemię. A potem i pas taki szeroki, co gadają, że ma od dyabła. Widziałeś jakie na nim litery dziwaczne z kałamarza pisane? O że to sam król, dałbym za to szyję.

— A choćby i tak było, jest bezpieczny, zawierzył nam, przyszedł na noc posilić się, niech będzie i dyabłem.

— Wartałoby — odpowiedział Borowy i zamilkł, niedodał i słowa.

Stanisław Bąk kiwnął głową, wychodząc z komory:

— Będzie sobie spał spokojnie, bo w mojej chacie, za domem róbta co chcecie.

Na rozesłanej słomie położył się ztrudzony Karol XII i zasnął twardo nierozebrany wcale. Stanisław Bąk z żoną, synem i Borowym spoczywali w komorze. Dołmaszy jeden czuwał, całą noc siedział na ławie przy kominie, drzymał, palił fajkę i przykładał coraz drewek na gasnący ogień.

VIII.

W obszernej komnacie siedział zamyślony Szczuka, podkanclerzy litewski. Na wielkim kominie palił się ogień, przy nim z założonemi w tył rękoma grzał się podsiwiały Ordęga.

— Co źle, to źle, panie bracie!—rzekł Szczuka, pokręcając wąsa—i jakże to było?

— Krótko a węzłowato: Najjaśniejszy król szwedzki z Torunia poszedł z wojskiem w lasy mazowieckie, kurpie, na których czele stanęła pani wojewodzina, podali mu warunki, których jeśli nie przyjmie, nie puszczą go dalej. Roześmiał się Karol i szedł na przebój, ale stracił w krwawej rozprawie wojsko wyborne i sam, jedni mówią, że zginął, drudzy—że ciężko raniony.

— Gdzież się teraz obraca?—zawołał podkanclerzy — dobrze mówią, że „fortuna non omnibus una“.

— Fortuna, zwyczajnie jak fortuna, to jest białogłowa, na jej statek nie spuszczaj się waszmość, ś. p. rodzic zawsze mawiał:

„Co ci powie białogłowa,
Pisz na bystrej wodzie słowa“,

i ja to sobie zawsze przypominam, a myślę, że tak fortunie jako i niewieście zarówno zawierzaj.

— Dużo musiało naginąć!

— Do ośmiu tysięcy szwedów!—odpowiedział Ordęga.

— Do stu szatanów! — krzyknął poruszony Szczuka — siedm tysięcy miał Karol pod Narwią, gdy ośmdziesiąt tysięcy rossyan pobił, a tu!...

— A tu miał rozprawę z „chłopami bez butów“, jak ich nazwał, ale z chłopami polskimi.

— Prawda, że każdy z nich dobrze strzela, ale cóż to znaczy przed wojskiem Karola XII?

— To znaczy, mój panie podkanclerzy, że jak weźmie na cel, to pewnie nie chybi. Sam widziałem, szło o zakład, napisał na desce podstarości pani wojewodzinej „A. S. R.“, to jest „Augustus secundus Rex“; był tam Borowy leśnikiem, jak wziął swoją mizerną strzelbę, w pół godziny kulami trzy litery wysadził.

— Długo się bili? — zapytał znowu Szczuka, którego ta wiadomość więcej obchodziła.

— Blisko trzy dni trwała rozprawa, jeszcze się zwycięztwo chwiało, ale gdy Telembski, dworzanin pani wojewodzinej, zdobył pięć szmigownic, a ona sama wycięła regiment szwedów na cmentarzu w Ostrołęce, otoczeni zewsząd, co do nogi wyginąć musieli.

— Ale gdzie król? gdzie król?!

— Bóg go święty raczy wiedzieć, kędy się obraca. Mój Grześko, fornal, co ongi za Łomżę jeździł, nasłuchał się dziwnych rzeczy.

— I cóż tedy mówią, co słychać pewniejszego?

— Waszmość niespokojny o najjaśniejszego króla Karola, i mnie to obchodzi, otóż on gadał, co słyszał: że go schwytać mieli, ale „Deus omnipotens“ wyzwolić go raczył, że przestrzeloną ma rękę, że pięć kul trafiło go w brzuch, ale się o pas

bawoli oparły i dlatego prostactwo rozgłasza, że ma pas od dyabła, który żadna kula nie przeszyje.

— Ale cóż u Boga, że takie wojsko im się nie mogło oprzeć.

— Nic dziwnego, bo ja znam zbliska Kurpiów. u nich życie jak ślina waży, a potem jaka przytomność! Był raz ogromny niedźwiedź, ale taki, że nie jego myśliwy, ale on strzelców szukał. Pamiętam, jeden gajowy miał coś czerwonego na kapeluszu, niedźwiedź z ponurym mrukiem, stanąwszy na dwóch łapach tylnych poskoczył do niego. Gdy się zbliżył na pięć może kroków, gajowy podniósł jeszcze dekel i zajrzał, czy dobra podsypka, zmierzył i palnął; aż musiał w tył uskoczyć parę kroków, tak blizko zwaliło się nieźwiedzisko, byłby go przydusił.

Szczuka, zamyślony, mało zważał na gawędzenie starego Ordęgi, pokręcał wąsa zatopiony w dumaniach, po chwili rzekł z uśmiechem:

— O, zapewne król August zechce korzystać z tej pomyślności, jak się dowie w swojej ucieczce; może myśli wrócić, ale nie tak łatwo! — zawołał, uderzając ręką w stół, dywanem tureckim zasłany.

— Dobrze mówią, widzisz waszmość, że przez Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął; król Karol bił więcej i żołnierzy, a teraz jest pobity od chłopów; jakto i mysz mała zaszkodzić może.

— Poprawi wszystko sam najjaśniejszy Karol, aby się tylko z tych szponów niedźwiedzich wydostał.

— Być może — odpowiedział Ordęga — ale że go porządnie zadrapały, nie zapomni długo.

— Potrafi przeciąć szponów, a kaganiec na pysk włoży — rzekł rozgniewany Szczuka. — Niedź-

wiedź, wiesz, panie bracie, jak srogi w lesie, a złapanego cyganie oprowadzają i tak tańczyć musi, jak mu zagrają i jak każą.

— Masz waszmość prawdę, panie podkanclerzy, ale muszą się go obawiać zawsze, gdy albo okiełznają kagańcem, lub też kółko przez nozdrze zasadzą a na łańcuszku ciągną.

— Któż tymi chłopami więcej dowodził, czy tylko sama pani wojewodzina? — zapytał po chwili Szczuka, hamując się w uniesieniu.

— O niej tylko gadają i o Telembskim.

— To jakaś mała szlachcina—rzekł podkanclerzy z pogardą.

Stary Ordęga, obruszony, pokręcił siwego wąsa, bo Telembski był jego daleki krewny.

— Zapomniałeś, widzę, waszmość, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; dawniej były lepsze czasy, a drwiono sobie z tytułów zagranicznych, nie znano tych hrabiów, margrabiów, książąt i książątek, szlachcic zawsze szlachcicem i lepszy niż baron.

Coraz więcej rumieniły się zmarszczone policzki Ordęgi; widział to Szczuka, krzyknął na hajduka, który wnet przyniósł kilka butelek węgrzyna i puhar w kształcie lejka.

— Do was, panie bracie!—rzekł Szczuka, podnosząc w górę puhar —„concordia res parvae crescunt, discordia maximae delabuntur!“

Na to przyjazne wezwanie rozjaśniło się oblicze starego Ordęgi, wychylił do dna podany puhar i już go miał stawiać na stole, gdy głośne psów szczekanie na podwórcu zwróciło ich uwagę.

— Czy goście jadą? — zapytał Szczuka stojącego przy drzwiach hajduka.

Hajduk poskoczył i niedługo drzwi się na ścieżaj roztworzyły.

IX

Podkanclerzy spojrzał z podziwieniem w otwarte podwoje; wysokiej postaci wszedł gość niespodziewany w płaszczu śniegiem okrytym, za nim drugi burką węgierską odziany, pierwszy miał jeszcze na głowie trójgraniasty kapelusz, drugi już w sieni wysoką czapkę ze śniegu otrząsał. Pierwszy zrzucił płaszcz, a Szczuka wykrzyknął:

— Tyżeś to! najjaśn. panie?

Karol XII postąpił do komina i niezdejmując wcale swego kapelusza, ogrzewał zkostniałe ręce, Ordęga ustawicznie ukłony oddawał, podkanclerzy rozkazał przygotować wieczerzę, Dołmaszy stanął wyprężony przy drzwiach wchodowych.

— Panie podkanclerzy!—rzekł Karol—potrzebuję dwóch posłańców, ale ludzi pewnych.

— W tej chwili dostawię, najjaśn. panie.

— Kałamarz i pióro!

Po chwili siadł i krótkie rozkazy napisawszy, oddał je wyznaczonym posłańcom, oznaczając godzinę powrotu.

Karol stanął znowu przed kominem:

— Już wiesz o wszystkiem zapewne, panie podkanclerzy?

— Tak jest, najjaśn. panie! — odpowiedział Szczuka z niskiem ukłonem—ale obawiam się...

— Ja się niczego nie obawiam—zawołał król

szwedzki z gniewem—czy widział kto, żeby Karol XII zadrżał kiedy?

— Nie to chciałem powiedzieć, nie to miałem ną myśli, najjaśn. panie, obawiam się, żeby z tak chwilowej niepomyślności nie chciał August korzystać.

— August, August!—rzekł wolniej Karol—kogo raz Karol strąci z tronu, to więcej nie trafi. Ale bójka była nielada. moi bili się jak lwy, aż miło wspomnieć, za sztandar mieli mój kapelusz, bo zawsze na przedzie. Wymawiając te słowa, chciał swoim zwyczajem zatrzeć włosy i dotknął kapelusza na głowie.

— A! przepraszam gospodarza, że tak niegrzecznie wszedł król szwedzki w uprzejmą gościnę.—Zdjął kapelusz z głowy a oddając swemu węgrowi:

— Otrząśnij ze śniegu.

Dołmaszy wyszedł do sieni.

— Temu poczciwemu węgrowi wiele winienem, wierny jak pies, w boju jak lew, głupi jak osioł.

Dołmaszy powrócił.

— No, mój towarzyszu, i tyś zmarzł podobno, pogrzej się trochę, pogrzejmy się razem, gdyśmy się razem bili i spali u tych chłopów bez butów!

— Jakto, najjaśn. panie! i odważyłeś się przyjąć nocleg u tych kurpiów, co ci do nogi wybili żołnierzy? —zapytał Ordęga zdziwiony.

— Tak do nogi, co do nogi! — krzyknął w gniewie Karol i tupnął mocno o ziemię. ale nie będę królem, jeśli się krwawo nie zemszczę, że wnuki popamiętają, jak Karol XII mści się poniesionej klęski O! żebym miał jeszcze z tysiąc moich!

— Taka liczba była w Ostrołęce i w okolicy,

ale i tę wyciąć kazała pani wojewodzina. To Herod, jak mówią, baba, połknęła dyabła, najjaśn. panie,—rzekł swoim zwyczajem stary Ordęga.

Szczuka zmarszczył czoło, okazując nieukontentowanie, a w oczach Karola błysnął ogień.

— I ci zginęli! — krzyknął w największym gniewie, czemuż choć stu mężczyzn nie mam przy sobie!

Zatarł włosów, zrzucił duże rękawice, zaczął się przechadzać wielkim krokiem po komnacie. Stary Ordęga odurzony nagłym wybuchem gniewu króla, zamilkł i spokojnie stał w rogu stoła, Dołmaszy, grzejąc się przy kominie, pomrukiwał niekiedy: „Basemteremtische! pohineli, a sem dobre, tuhe chlapy byli!“

Karol powoli z uniesienia ochłonął.

— Cóż to za jedna, ta pani wojewodzina? — zapytał z przyciskiem Szczuki.

— Jest to, najjaśn. panie, wdowa po wojewodzie Działyńskim, kobieta w młodym wieku.

— Nie ma jak lat 24, najjaśn. panie, urodziła się anno... i zaczął na palcach rachować po swojemu Ordęga.

— Wielkie przeszkody mi stawiają—zawołał Karol z uśmiechem szyderskim—baba, jedna baba!.. i chłopy bez butów!

— Najjaśn. panie!—rzekł Szczuka—ja tylko dzięki Bogu składam, że waszą król. mość zdrowo z tego nieszczęścia wyprowadzić raczył.

— I szczęśliwie salwował!—dodał Ordęga z ukłonem.

— Dziękuję ci mój podkanclerzy, wiem iż dobrze i szczerze mi życzysz, dla tegom dom twój

wybrał na pobyt chwilowy. — Trochę strudzony, chciałbym spocząć.

— Najjaśn. panie, już wszystko gotowe i jeżeli w. król. mość dozwoli, będę mu służył za przewodnika.—I przeprowadził podkanclerzy Karola do sypialnej komnaty.

Odetchnął stary Ordęga, nalał sobie puhar i rzekł do grzejącego się Dołmaszego przy kominie:

— „Non est vinum, nisi Hungaricum!“ tak u nas mawiają, widzę żeście z tego kraju, mój przyjacielu, skosztujcie krajowca.

— Ket sem raczy pan welkemożny—i wychylił do dna podany puhar.

— A co, dobre?—zapytał Ordęga z uśmiechem.

— Sem to echt Tokajczyna, dobre, tuhe chlapskie wino.

— Co tak się gniewa najjaśn. król jegomość?—rzekł znowu głaszcząc łysinę.

— Nie znam pre czo ne dobry humor maje.

— Gdzieżeście-to nocowali?

— U sedlaków, czora sem sia bili, a dneska prenocowali.

— Że też nie złapali najjaśn. pana, czy nic nie mówili? zapewne nie poznali.

— Ano! nie poznali sem krala; my społom na ławicu siedieli i jedli gromple, o tak—i usiadł na dużej kanapie obok Ordęgi.

— A król wam nic nie mówił?

— My sem neśmieli z kralem pospołu siedit, ale jako sem stanęli za nim, wziął za ruku i rozkazał społom siedit.

To nie dziwię się czemu Karola nie schwytali, pomyślał sobie Ordęga, bo się ukrył, to myśleli że to plebejusz jaki!... i popłukał znowu usta zachwalanem przez węgra winem. Dołmaszy zbliżył się

do komina i zaczął rozdmuchiwać przygaszony ogień. Wkrótce nadszedł podkanclerzy, zawołał hajduka, i rozkazał dać wszelką wygodę węgrowi. Zostali sami z Ordęgą.

— Widzisz waszmość, król się gniewał i miał racyę, kto widział takie nieprzyjemne wspomnienia na pamięć przywodzić!

— „Errare humanum est!“—odpowiedział Ordęga, jużem się sam za to wypłacił; ale to zły jak dia... Nie dokończył wyrazu i uderzył się ręką w usta.

— Dzięki Bogu! że król wyszedł zdrowo; o pójdzie inaczej, jeszcze nieprzyjaciele nasi wraz z Augustem zadrżą przed nami.

— To niezawodnie!—pomruknął Ordęga, dopijając swego puhara.

— Najjaśn. pan tu zgromadza swoje siły i na nowo pogrozi światu, ja mam wiele do czynności; muszę odejść, „bona nocte“, waszmości.

— „Bonam noctem!“ — rzekł Ordęga odchodzącemu Szczuce, usiadł na kanapie i nalał puhar.

Co źle, to źle znowu będzie, znowu bieda i zniszczenie kraju! tak mówił do siebie, ciągle popijając węgrzyna; niejedna wieś spłonie, i niejedna matka zapłacze... Ale rozprawa była nie lada, nieprzyjemno mu wspomnieć; a żeby pobił, toby się chwalił i pan podkanclerzy rości sobie pretensyi; albo ja co winien, że najjaśn. panu wytatarowali skórę? Ale mój Telembski chwat chłopak... No, mój Boże, któżby się spodziewał, oto takie małe bobo było, ale zawsze zuchowate. (Nalał znowu z butelki i zakosztował). Nieraz to z pałaszykiem drewnianym latało, jak kot z pęcherzem, a teraz po polsku kurtę skroił. No proszę, pięć zdobyć szmigownic! to nie przeskakiwał tego palcem. A i

pani wojewodzina niewiasta do rzeczy, i chwat sobie; a najjaśn. pan się gniewa jak mu wspomnieć, że skórę zgarbowali, że go pobiła baba i chłopy bez butów!...

Powoli węgrzyn zaczął działać, na rumiane policzki starego Ordęgi pot kroplisty wystąpił, delikatny dymek nad łysiną się unosił, zamknął oczy, mocno chrapnął i zwiesił siwą głowę w głębokim śnie pogrążony. Zagasł ogień na kominie, a ciemność całą zajęła komnatę.

X.

Równo ze świtem już Karol XII nie spał, całą noc miał niespokojną, jeżeli zadrzymał, widział, jak przy jego boku najmężniejsi padają śmiertelnym ujęci strzałem. Przez sen kilka razy, jak na placu boju, wołał na swoich i rzucał się niespokojnie na łożu. Szczuka, który w przyległej czuwał komnacie, wszystko słyszał i uważał; o samej północy cały dziedziniec jego dworu napełniła jazda i piechota szwedzka, dowódcą tego oddziału był generał Steinflicht, który szczęśliwie wydostał się z ogólnej porażki.

Podkanclerzy nie śmiał zbudzić Karola i donieść, że wojsko zbierać się zaczyna w oznaczone stanowisko, niedługo wszakże sam król go zawołał:

— Cóż słychać, panie podkanclerzy, czy już przybyli moi?

— Tak jest, najjaśniejszy panie, czekają dalszych rozkazów w. król. mości.

— Któż niemi dowodzi?

— Generał Steinflicht.

— Dzięki Bogu, że wyszedł cały, niech tu przyjdzie—rzekł Karol i zaczął się przechadzać po komnacie.

Steinflicht stanął na rozkazy.

Karol wesoło przystąpił do niego, a klepiąc po ramieniu:

— Przecież się wydostałeś z pazurów niedźwiedzich, wieleżeś zgromadził moich?

— Najjaśniejszy panie, dwa regimenta piechoty, jeden jazdy i cztery śmigownice.

— Gdzie więcej?

— Za dwie lub trzy godziny nadciągnie reszta korpusów.

— Wieleż tej reszty?

— Wydałem już potrzebne rozkazy, ażeby marsz przyśpieszono, jest tam dziesięć regimentów piechoty, sześć jazdy i dziesięć dział.

— No, oddam teraz za swoje, rzekł Karol do siebie.

— Roześlesz zaraz silne patrole jazdy wokoło, piechoty regiment jeden zajmie Łomżę jak najprędzej, a wsparty dwoma szmigownicami, niech się posuwa zwolna drogą ku Ostrołęce, reszta zostanie przy mnie.

Generał pośpieszył dopełnić dane rozkazy.

— Jakież wiadomości o Auguście? zapewne wiesz, gdzie się obraca.

— Tak jest, najjaśniejszy panie—odpowiedział Szczuka — August jest niedaleko, u pani wojewodziny.

— Tem lepiej — rzekł Karol — poznamy się zblizka.

— Szmigielski starosta, z znacznym pocztem szlachty polskiej, przybył także wspierać Augusta stronę, coraz więcej zbiera pod sztandary swoje, wieść o klęsce działała mocno na umysły wielu.

— Mało dba o to Karol XII — odpowiedział, gryząc wargi w gniewie — mało dba, gdyby miał nawet tylko tyle swoich, ile tu! — i wskazał na dziedziniec, gdzie zgromadzoną jazda i piechota była.

— August wydał rozkazy wojsku saskiemu, które śpiesznie zajmuje korzystne w około stanowiska, sądzę...

Karol zamyślił się chwilę i wybiegł prędko na podwórze, gdzie go wojsko z radosnemi powitało okrzykami.

— Małgosiu! Małgosiu! a cóż się nie odzywasz?—milczy jak zaklęta!—wołał Stanisław Bąk, nabijając swoją strzelbę.

— A czego chceta?—odpowiedziała zadyszana, z gumna nadbiegając.

— Dajcie no pakuł do torby, nie mam już ani trochy.

Nadszedł niedługo Borowy.

— Coś nowego będzie, wielki ruch na naszym dworze, szlachty coraz więcej przybywa, a każdy strojny i zbrojny, mówią—rzekł dalej Borowy—że i nasz król, co go szwed wygania, jest u naszej pani, i chce dziękować kurpiom, co skórę wytatarowali tym zamorcom. We dworze będą się bawić, a tu nowa troska, czy wieta kumie? ten co tu nocował, był król szwedzki, a my go puścili, oj! oj! żebyśma tego nie pożałowali; a ja mówiłem, wziąść było panicza i oddać do dworu.

— Ale mój kumie, to się nie godziło i ja ze śmiałem czołem i naszemu królowi powiem: jaśnie wielmożny królu! prawda, spał u mnie król szwedzki, ale że to była moja chałupa, wydać się nie godziło. Potem człek ma czyste sumienie i teraz myśli o czem innem.

Borowy nic nie odrzekł, obejrzał strzelbę i podsypkę.

— Ale. ale. we wsi gadają, że znowu bójka

będzie (mówiła Małgorzata), że szwedy znowu się zbierają i chcą się mścić na nas biedakach.

— Niech się dzieje wola Boska, toć i człowiek nie fryc do bitwy, już powąchał prochu, a potem moja Małgosiu, nie tak łatwo im się po takiej frycówce i zebrać.

— Co ludzie gadają, mój kumie to i wygadają.

— Czy myślisz — rzekł z coraz większym zapałem Borowy — że te czerwone dyabły darują nam za krew przelaną, którejśmy tyle natoczyli, ile wody w Omulewie? Nie, zapewne, głowa za głowę, krew krwią się płaci; jeszcze nieraz Borowy pośwista ołowianą kulą, nim samemu, Bóg wie, jaki koniec przypadnie. Co mówiła Małgorzata, to żywie Bóg prawda! już nasi, wysłani na zwiady, widzieli okowidnie, jak się szwedy zgromadzają. Od Szczuczyna pokazało się, jak kawek na słotę, piechoty i jazdy, mówili że sam król niemi dowodzi, że przez Łomżę prosto na Ostrołękę ciągną, że bokiem zachodzą do Myszeńca. Pani nasza wysłała zaraz ze trzech wiosek naszych, aby utrudzali na drodze, pojechało tam dosyć szlachty, ale dobrze mówią: że to panowie szlachta, jednemu wór drugiemu płachta — kończąc te słowa, uśmiechnął się szydersko.

Jaśko nadbiegł w tej chwili zadyszany.

— W Dąbrowie biją na gwałt, pani kazała uderzyć we wsi każdej, gdzie tylko dzwonnice, żeby się zbierać zaraz, czerwone dyabły uderzyli na naszych, już strzelanie ze dworu słychać. Pan podstarości, co wrócił z za Ostrołęki, mówił, że się nasi tęgo trzymali, ale jak odjeżdżał, nie wie co dalej wypadło, ale od strzelania aż ziemia się trzęsła, widać, że armaty sprowadzili.

Borowemu ogniem zabłysły oczy.

— No, dalej Staśku, w imię Boże, zapolujem! Hej dziatwa, do broni!

Małgorzata zaczęła płakać, stojąc przy kominie ocierała łzy fartuchem.

Stanisław Bąk rzekł z rozrzewnieniem:

— Moja Małgosiu, płacz nic nie pomoże, miejmy w Bogu nadzieję, dajcie no tymczasem co do torby i wódki we flaszkę.

Gdy Małgorzata odeszła do komory, Stanisław Bąk wziął Jaśka za rękę i rzekł z cicha:

— Uważaj dobrze, jak się będą czerwone dyabły zbliżać, uprowadź matkę do Kwiczoła, a wcześnie wynieś wszystko z chaty i zapal ją potem — zawołał Borowy — żeby szwed nie znalazł dachu do spoczynku, gdzie przespał noc jedną ich pan, ich król, któregośmy mieli w łapie a wypuścili.

Stanisław spojrzał surowo.

Małgorzata z płaczem wyszedłszy z komory, wypakowała torbę.

— No! komu w drogę to i czas! Bywajcie zdrowi, moja Małgosiu, Jaśko niech siedzi doma.

Uściskał żonę, Borowy ją pocałował i wyszli z chaty, a za nimi wybiegł Jaśko.

Małgorzata skropiła ich wodą święconą i stojąc w progu, ciągle żegnała, dopóki nie zniknęli w gęstym lesie, wróciła do izby, usiadła na ławie:

— O biednaż ja, biedna sierota!—zawołała— i rzewliwym płaczem wciąż swoją boleść temi głosiła wyrazy.

Tymczasem Jaśko, kilka staj odprowadziwszy ojca i Borowego, pożegnał się z nimi, wrócił do chaty, ujrzał jak matka zapaliła świecę woskową

przed obrazem Panny Maryi częstochowskiej, uklękła i ze łzami się modliła; rozrzewniony odwrócił się do ściany, zapłakał i w cichości sukmaną łzy otarł; wyszedł na podwórze, narąbał sosniny, podłożył na komin i rozdmuchał ogień.

Małgorzata wciąż się modliła.

XI.

— Gdzie sią teraz obrócim? — rzekł z cicha August II, wstrzymując konia, do starosty Szmigielskiego.

— Zdaje się, najjaśn. panie, że widzę łunę z ognisk, która się przez to gęste przedziera krzaki, sądze, że to ogniska szwedów, naszych w tej stronie nie ma.

— Cóż będziem robić? — zapytał król z niepokojnością.

— Zaraz sobie poradzim, — odpowiedział starosta. — Hryć! zawołał na swego kozaka.

Zbliżył się młody kozak wysmukłej postaci, twarzy przyjemnej, oczu bystrych i pełnych ognia.

— Wedrzij się na tę sosnę i co ujrzysz opowiedz.

Hryć zręcznie skoczył z konia, stanął pod sosną, zmierzył oczyma jej nie małą wysokość, przeżegnał się trzy razy i zręcznością wiewiórki wdarł się na sam wierzchołek.

— Jaka zręczność i siła! — rzekł August.

— Nic dziwnego, najjaśn. panie, od młodych lat wprawiają się ukraincy do tego, bo tatarów doglądają ze szczytów drzew swoich.

Po niedługiej chwili kozak szybko zsunął się z sosny.

— Ogniska szwedzkie widać gęsto, i aż pod

sam las dochodzą, a czaty w około nas blisk stoją.

— Co robić? co robić? no radź mój starosto— rzekł król August.

— Audaces fortuna juvat! — odpowiedział Szmigielski. — Zatrzymaj się tu z kozakiem, najjaśn. panie, a ja dostanę języka.

Domawiając tych słów, śpiął ostrogami swego karego i ruszył wązką drożyną. August zsiadł z konia i spoczął pod drzewem. Kozak trzymał jedną ręką za cugle konie, w drugiej przygotowany pistolet i nasłuchiwał uważnie każdy szelest i każde poruszenie w lesie.

Szmigielski niedługo wyjechał z lasu, ujrzał drabanta na czatach konno stojącego z odwiedzioną rusznicą. Szybko zajechał mu z tyłu, w jednej chwili lotem błyskawicy natarł, olbrzymią siłą porywa za kark, sadza na swego konia i pędem na tęż samą drożynę powraca.

Kozak zdala usłyszał chyże tętnienie i ostrzegł króla; porwał się August, dosiadł rumaka i z dobytą szablą staje przygotowany. Lecz jakież było podziwienie jego, gdy zamiast spodziewanego nieprzyjaciela, ujrzał w pędzie na jednym koniu Szmigielskiego i zbladłego drabanta, który rusznicę ze drżących ręku wypuścił.

— No, najjaśn. panie! Szmigielski tak dostaje języka — zawołał, — on nam teraz wszystko wyśpiewa i posłuży za przewodnika.

— Wieleś dokazał panie starosto, z narażeniem życia! — rzekł August.

— Najjaśn. panie! Szmigielski w obronie waszej król. mości nieraz to życie na szwank wystawił, ale dobrze to mówią: chłop strzela, Pan Bóg kulki nosi. Zsiadł z konia, rozbroił wybladłego, jak Piotrowinę z grobu, drabanta, i oddał pod straż swemu kozakowi.

— Teraz niech raczy w. król. mość rozmówić się z tym szwedem, on nam służyć za przewodnika musi.

August rozpytywał go o drogę, ile szwedów i gdzie Karol XII przebywa, drabant zaledwie mógł przebąkiwać ze strachu. Zniecierpliwiony starosta zawołał:

— Najjaśn. panie! tu niewiele mamy czasu do straty, trzeba nam się wydobyć z tej przeklętej puszczy. Hryć! dobądź smyczy—i dał mu znak.

Kozak długiego dobył surowca, okręcił na szyi drabanta, wskoczył na konia, wyjechał naprzód, prowadząc przytroczonego szweda jak charta na polowanie.

Tąż samą wązką ruszyli drożyną, wkrótce las ciemny zaczął się rozrzedzać i widocznie ukazały się rozpalone ogniska. Szmigielski z nagotowanym pistoletem na nogę następował prawie szwedowi, który struchłały szedł wolniej lub prędzej, stosownie do rozkazu, wskazując wszakże wiadome sobie drogi, któremi bezpiecznie wyminąć można obozy.

Gęste krzaki i rozrosłe hoiny kępiaste zakryły im ogniska i pewniejszą wskazywały uchronę, pół mili z górą przedzierali się zaroślami, za nim ukazały się rozległe błonia, wioska i dwór szlachecki.

— Możnaby już puścić naszego przewodnika—rzekł z uśmiechem August do Szmigielskiego.

— Najjaśn. panie! niezupełnie, ja mego zostawię kozaka przy nim, on nas dogoni, nieznacznie wypuścim ich naprzód i do wsi obrócimy drogę. Sam zbliżył się do kozaka i z cicha słów kilka przemówił.

August dobył talara, a dając drabantowi na piwo, zgiął jak wosk w palcach. Szwed zadziwienie z bojaźnią okazał; król się roześmiał, napowrót wyprostował go w palcach i rzucił, dodawszy jeszcze kilka, w nastawiony kapelusz.

Jechali sporzej, kozak coraz się oddalał, i Szmigielski z Augustem zwrócili do wsi.

Hryć obejrzał się kilka razy; coraz więcej śpieszył do wyniesionego pagórka, na środku którego dąb odwieczny szerokie rozciągał konary. Widział kilka talarów u drabanta, wzięła go chętka, świsnął na swego żmudzinka, który odrazu jako wicher poskoczył. Szwed tem poruszeniem nagłem obalony, mając gwałtownie i silnie naciśnięte gardło, stracił przytomność. Kozak zatrzymał konia, zsiadł i sięgnął do kieszeni po talary; gdy usłyszał bliskie tętnienie kopyt, nie wiele miał czasu, zchwyconą zdobycz schował, skoczył na siodło i spojrzał w około. W dali ujrzał Augusta i starostę Szmigielskiego, dojeżdżających szybko do wsi, a w pobliżu siebie dziesięciu drabantów szwedzkich, którzy go zewsząd otaczali. Kozak zwrócił chyżo na drogę do lasu wiodącą i uderzył na dwóch szwedów, którzy mu zaskoczyli z tej strony, jednego powalił z konia, lecz wnet więcej nadbiegło; nie miał już sposobu ratunku, w około zabłysnęły szable wyostrzone nad głową, zeskakuje z konia, wymyka się zręcznie, wbiega w gęstwinę ciemnego lasu i wdziera się na wierzchołek sosny. Tam z boleścią widzi, jak jedni rzucili się za nim w pogoń, drudzy prowadzili jego żmudzinka; byłby wszystko za niego oddał, bo nic nie miał droższego na świecie, jak Paraskę czarnobrewą, konia i szablę. — Łzy mu się zakręciły, wtem z radością patrzy, że żmudzinek wydarł się szwedom i z gło-

śnem zrzeniem poskoczył w stronę gęstwiny, gdzie pan jego się uchronił. Kozak zsunął się z sosny, przypadł do ziemi i głośno zaświstał. Wkrótce trzask i szum gałęzi posłyszał, a niedługo i swego ujrzał żmudzinka. Dosiada lekko siodła, przychyla się do grzywy, i niknie jak błyskawica w nieprzejrzanej ciemności rozległej puszczy.

XII.

— Cóż nowego przywozisz, mój Stasiu? — rzekł poufale Jan Grudczyński, starosta rawski, do przybyłego Stanisława Zieńkiewicza, który stanął w rogu marmurowego komina.

Zieńkiewicz złożył na stole pakiet listów. Był to ulubieniec starosty, jego wychowanek, wziął go na swoją porękę, kiedy nie miał więcej nad ośm lub dziewięć lat; nie chciał się uczyć, tylko latał, piął się na drzewa, by wykręcać gniazda ptasze, żydom w miasteczku psoty robić, oto cała zabawa. Starosta kazał go uczyć, a że było to pacholęcie jeszcze zdatne, łatwo wszystkiego się nauczył i został prawą ręką Grudczyńskiego. Najwięcej od następnego wypadku wpadł w szczególne łaski:

Przybył raz Grudczyński w podróży na Ukrainę do karczmy samotnej wpośród rozległej puszczy jedynej. Że niesposób było dalej jechać, bo noc zbyt późna, umyślił zanocować, niepodobieństwem zaś spać w izbie dla smrodu i zaduchu od kopy bachorów i nieczystości. Rozkazał sobie posłać w blizkiej stodole, zawołał Stasia ulubionego, a ludziom czujność i baczność polecił.

O samej północy Staś usłyszał, że się coś przesuwa w zasieku po sianie, zbudził Grudczyńskiego i ostrzegł; porwać się zaraz i uciekać było rzeczą nierozsądną. Staś przewidział wszystko, cichaczem się wymknął i pobiegł do karczmy, gdzie dworscy spali, głębokim snem ujęci. Przy samych wrotach obejrzał się i ujrzał, że za stodołą kilkadziesiąt koni stoi, budzi swoich bez hałasu, dworscy porywają żyda, każą mu milczeć, wszystko do wyjazdu pogotowiu, sanie wypakowane, konie zaprzężone. Staś przemyśliwał, jakby wydobyć Grudczyńskiego, powraca więc nazad do stodoły i głośno daje znać staroście, że koń ulubiony, Gniadosz, zachorował i powalił się przy żłobie. Grudczyński w gniewie zrywa się z posłania, przywdziewa tylko sobolową delię i biegnie do karczmy. Siada w przygotowane sanie, otwierają się na ścieżaj drzwi karczmy i starosta swobodnie uchodzi.

Wszakże i zbójcy czuwali, a chociaż widzieli 25 dworzan zbrojnych, dosiadają koni i śpieszą w pogoń.

Grudczyński, doświadczony, rozkazuje, żeby nie razem, ale pojedyńczo tylko odstrzeliwano; jakoż każdy strzał był skuteczny, bo przerzedzał bandę łotrów, sam najzuchwalszych i najbliżej nacierających z pistoletu powalił. Tak ujechał mil dwie, nim znużeni rozbójnicy, widząc, iż nic nie dokażą, a sami tracą towarzyszów, opuścili go i rozsypali się w gęstej puszczy. Staś otulony futrem starosty, siedział mu w nogach i wyglądał często, każdy strzał celny ze strony dworzan widział i zaraz wołał:

— O! o! spadł z konia; o! coś dostał, bo krzyczy Jezus, Marya, Józef!

Od tego wypadku zostawał Zieńkiewicz w jak najlepszych łaskach, tem bardziej, że i chlubną szramę od prawego oka otrzymał, wspierając na sejmiku partyę starosty.

— I cóż z nowin mi powiesz przecie?— zapyznowu Grudczyński.

— Jaśnie wielmożny panie, wiele nowin: August zdetronizowany, nową elekcyę prymas Radziejowski ogłosił.

Uśmiechnął się radośnie starosta, była to pożądana nowina.

— Miejsce elekcyi, jak zwykle — mówił dalej Zieńkiewicz — na polach pod Wolą, najjaśniejszy król szwedzki stanął obozem o trzy mile pod Błoniem. Elekcya się odbyła, królem ogłoszony Stanisław Leczczyński, wojewoda poznański.

Grudczyński uderzył w ręce.

— Chwała Bogu! — zawołał z radością — August strącony! a ksiądz jegomość kardynał?

— Nie zupełnie uradowany z tego wyboru, mówią, że chciał kogo innego obrać królem.

— Żeby pod niedołężnym sam rzecząpospolitą rządził. O! znam go! znam dobrze! chciał Sieniawskiego hetmana, niedołężnego starca, by go za nos wodził, ale „homo proponit, Deus disponit", widać, że takie było przeznaczenie dla domu Leszczyńskich, jak dla Sobieskich, by ród ich na tronie polskim zajaśniał.

— Mówią, że rozgniewał nawet na siebie pan kardynał Radziejowski i najjaśniejszego króla szwedzkiego.

— Cóż było tego powodem?—zapytał starosta ciekawie.

— Przywołany do Karola XII, prymas był zapytany o zdanie nad niektórymi kandydatami do tronu; każdemu coś przymówił, każdemu łatkę przypiął. Najjaśniejszy król szwedzki wymienił Leszczyńskiego: „Czy masz co i przeciw niemu?" — „Nic, najjaśniejszy panie—odpowiedział Radziejow-

ski — tylko że młody." — „I ja młody!" — zawołał gniewnie urażony Karol XII, a grzejąc się w tej chwili przy kominie, odwrócił się i więcej nie chciał mówić.

— To dumę pana Radziejowskiego uraził — rzekł z głośnym śmiechem Grudczyński.

— A jednak wiele usługiwał Karolowi XII— mówił dalej Zieńkiewicz — bo gdy knował zamysł zdetronizowania Augusta, zwabił pod innemi pozorami radnych panów do Warszawy, tymczasem wojskiem szwedzkiem tak zręcznie wszystkie drogi osaczył, że z przybyłych żaden ujechać nie mógł rad nie rad podpisał akt detronizacyi.

— A koronacya najjaśniejszego króla Stanisława już odbyta?

— Tak jest, wielmożny panie, odbyła się z całą świetnością i powagą w Warszawie, był jej przytomny Karol XII. Najjaśniejszy król jegomość wraz z dostojną małżonką ukoronowani zostali w kościele katedralnym św. Jana i złożyłem sam uszanowanie jaśnie wielmożnego pana i oświadczenie, że z powodu słabości, która nie dozwoliła mu być obecnym na tym obchodzie, chociaż nie własną osobą, składa swój hołd jego królewskiej mości. — Karol XII zaraz ruszył do Torunia, skąd miał przechodzić na Myszeniec i Ostrołękę.

— A ów August, ten ex-król, co porabia? — zapytał z ironicznym uśmiechem Grudczyński.

— August zbiera wojska, zapewne zechce próbować losu bitwy.

— Można mu zaśpiewać: „Requiescat in pace!" Całe wysilenie pana elektora saskiego przeciw potędze i zwycięztwom Karola XII będzie łyżką po obiedzie

— Starosta Szmigielski jest przy jego boku ze znacznym zastępem szlachty polskiej.

— Pan starosta!—zawołał z uniesieniem Grudczyński—o gdybyśmy się gdzie spotkać mogli!

Wtem otworzyły się podwoje komnaty, wszedł najprzód pomieszany August II, a za nim starosta Szmigielski.

Kilka kroków w tył usunął się Grudczyński, z podziwieniem spojrzał na Augusta, Szmigielskiego zmierzył surowem wejrzeniem.

— Panie starosto!—rzekł po chwili zmieszany August—żądam schronienia, szwedzi wokoło.

— Masz nas waszmość w swoim ręku—zawołał Szmigielski, występując naprzód—zapewne wydasz szwedom; gdy Szmigielski nigdy nie dał się wziąć w niewolę, kiedy kord przy boku, odbierz go waszmość. Tych słów domawiając, rzucił szablę pod nogi Grudczyńskiemu.

— August zbliżył się, wziął za rękę starostę: przytułku i gościnności! wszak to polskie cnoty.

Grudczyński przy nawale uczuć słowa wyrzec nie mógł, po chwili zaledwie odpowiedział, a pierwsze słowa jego były do Szmigielskiego.

— Podnieś waszmość szablę, Grudczyński podłym być nie umie—a zwracając się do Augusta:

— Najjaśn. panie! znalazłeś tu bezpieczne schronienie, po moim chyba trupie dostaną szwedy osobę w. król. mości!—August z wdzięcznością przycisnął rękę jego do serca.

— Prawda—mówił dalej—że oponentem w. król. mości jestem, ale Grudczyński jest tylko wrogiem w otwartem polu, a polakiem w własnym domu.

Szmigielski ochłonął z pierwszego uniesienia,

a rozczulony szlachetnością starosty, przystąpił do niego i podał rękę. Przyjął on ten znak uprzejmości i rzekł z nierozjaśnionem jeszcze czołem:

— Kto przejdzie próg mego domu, temu przyjaźni, chociażby chwilowej, nigdy nie odmawiam.

Dał znak Zieńkiewiczowi, który bezzwłocznie opuścił komnatę, po chwili wszakże przybiega z doniesieniem, że liczny patrol szwedzki z pobliskiego obozu już na podworze zajechał. Grudczyński nie zmieszany, wziął za rękę Augusta i poprowadził do alkowy, tam przy wielkim obrazie Jana Sobieskiego, jak pod Wiedniem uderza na hordy liczne turków i tatarów, poruszył sprężynę i drzwi nieznaczne otworzyły się zaraz. Ukazał się tam mały pokoik, do którego wprowadził Augusta i Szmigielskiego.

— Tu jesteś bezpiecznym, najjaśn. panie, ja odchodzę, by oddalić wszelkie podejrzenie, bądź spokojnym bo Grudczyński daje swoje słowo. — Wszedł do sali, gdzie Zieńkiewicz już przyjmował dowódzcę patrolu, którym był młody podoficer Remer.

— Daruje pan starosta—rzekł z ukłonem uprzejmie do wchodzącego, że tu przybyliśmy, ale jesteśmy żołnierze, rozkaz ściśle dopełnić musimy.

— Cóż takiego?—zapytał Grudczyński.

— Podług wszelkich poszlaków, król August znajduje się w pobliżu, nasz drabant jeden, pochwycony zdradziecko na czatach, musiał mu służyć za przewodnika, mało życia nie utracił, a co szczególna, że król August...

— Raczej ex-król, elektor saski — przerwał Grudczyński.

— Tak, tak, przepraszam—rzekł z uśmiechem Remer—wydał się niechcący, bo dając kilka tala-

rów na piwo, zgiął jeden jak wosk w palcach i wyprostował nazad, ale niezupełnie, oto jest i położył na stole talar znacznie wygięty, któżby to potrafił, jeden tylko August.

— Niekoniecznie—odpowiedział Zieńkiewicz—starosta Szmigielski jest równie silny, bo na dzikiego konia jak wsiądzie a ściśnie kolanami, to koń przyklęknie.

— A to on był zapewne z Augustem—zawołał Remer.—To jego sztuczka, kiedy naszego drabanta lwią siłą porwał z konia, na swego przesadził i uciekł.

— A to zuch sobie—rzekł Grudczyński, śmiejąc się głośno—przyznam się, że nie bardzo radbym dostać się w takie pazurki.

— Niech go tylko złapiem, to cienko zaśpiewa; liczne patrole rozesłałem w około, chybaby do myszej jamy się ukryli, żebyśmy ich nie wynaleźli, a piękny byłby podarunek dla naszego pana, król August i pan starosta!

— Raczycie darować—wyrzekł z powagą starosta—że to moja godzina zwykła spoczynku, proszę się rozgościć, na niczem wam zbywać nie będzie. Panie Stanisławie, wino i wieczerza. Skłonił się nisko Remer, Grudczyński odszedł do sypialnej komnaty, Zieńkiewicz krzyknął na hajduka, który wkrótce przyniósł kilka flasz wina.

Remer odpasał pałasz, zdjął pas z pistoletami i usiadł w wielkiem krześle starosty, przyjął podany sobie spory puhar wina i do dna go wychyliwszy:

— A wiesz pan co, to nie złe wino, bodajto piwnice panów polskich!

— Tak to mawiają — rzekł Zieńkiewicz — że nigdy w Polsce niezabraknie

„Żyta, lnu i pszenicy,
I pełnej wina piwnicy".

— Ale kto wie, czy długo będziem śpiewać tę piosneczkę, czy ją nasze dzieci jako prawdziwą przypowiastkę powtarzać będą.

— E mój panie! co tam o tem myśleć, ja nigdy o jutrze ani pomyślę nawet, bo co dziś to moje, co jutro, dyabłu oddaj! Tak każdy żołnierz myśleć musi, na co się truć goryczą, tu się troskasz, a tu kulka świśnie i już kopyta nazawsześ wyciągnął.

Zieńkiewicz nalał drugi puhar.

— Smiało pijcie — rzekł do Remera — bo to stare wino, a u nas mawiają, że stara księga, stara prawda i stare wino zawsze dobre.

— Jest to wielka prawda, zgadzam się na starą prawdę, a szczególniej stare wino, ale dziękuję za starą księgę, ja ani jednej w swojem życiu nie przeczytałem; oto nasza księga—zawołał, uderzając w leżący pałasz na stole — to księga, to prawda najlepsza.

Zieńkiewicz z boleścią westchnął:

— O! biada — pomyślał — gdzie sama szabla prawdą będzie.

Niedługo i wieczerzę zastawiono, Remer zajadał smacznie, pił wiele, aż rozmarzony, nieskończywszy ulubionej piosnki, zasnął twardo.

Grudczyński z sypialnej komnaty przeszedł cicho koło śpiącego szweda i spojrzał na podwórzec. Noc była ciemna, śnieg tylko na dachach bielał, nadstawił ucha, milczenie.

— Jeszcze nie czas—rzekł do siebie i powrócił do alkowy.

XIII.

Stanisław Bąk i Borowy najbliższemi drożynami dochodzili pod Ostrołękę; im więcej się zbliżali, coraz wyraźniej huk ręcznej broni i działowy słyszeli.

— Spieszmy, Staśku! spieszmy, żeby nie zaspać ciepłych gruszek w popiele—zawołał Borowy, przysparzając kroku. — Odetchnę swobodniej, jak choć z jednego szweda duszę podaruję dyabłu na ofiarę.

Właśnie wyszli z lasu, ujrzeli na czystem polu rozwinione szeregi Karola XII. Kurpie bronili się zacięcie przy wiatraku i we wsi między opłotkami.

— Czy widzisz?!—wykrzyknął z zapałem Borowy—nasi jeszcze we wsi trzepią czerwonym dyabłom skórę, hurra na nich! — i rzucił się naprzód z przygotowaną strzelbą, ale w tej chwili dwóch drabantów szwedzkich ujrzał tak blisko siebie, że nie miał czasu wystrzelić.

Uważniejszy Stanisław Bąk zmierzył, a z połyskiem na panewce zwalił jednego z konia, drugi chciał uciec, ale Borowy, który przed cięciem pałasza przypadł do ziemi, nagle się rzucił, porwał olbrzymią siłą za nogę, sciągnął z konia i rozjątrzony wymierzył pięścią cios w czoło szweda, a za spadnięciem tej żylastej ręki wytrysnął mózg z czaszki i Borowemu oczy zamazał. Bąk przybiegł, chciał uratować drabanta, ale zapóźno, przytrzymał tylko konia, gdzie spodziewał się znaleźć łup bogaty.

Tymczasem Karol XII parł coraz więcej kurpiów, osadzonych między opłotkami i w wiatraku, ale wszędzie dzielny znajdował opór. Napróżno jazda szwedzka w całym pędzie chciała się przedrzeć, każde uderzenie własnemi opłacała trupami. Los przechylił się na stronę szczęśliwego Karola, potrafiono zapalić wiatrak i wioskę, które służyły kurpiom dotąd za ochronę; wówczas ci z jednej strony skwarzeni pożarem, z drugiej przyciskani od wiele liczniejszych wrogów, musieli ustępować na czyste pola, gdzie widzieli zgubę i od jazdy i od kul działowych. Ale nie stracili odwagi, w porządku wśród gradu kul opuszczali wioskę i wiatrak.

Czekał tylko na to Karol XII; zaledwie się na polu ukazali, jazda szwedzka ich okoliła; już byli zgubieni, wtem wrzawa w pobliżu powstała, na zuchwałych pewnem zwycięztwem Telembski na czele 200 szlachty uderzył, zmieszani chwiać się zaczęli, z czego korzystając kurpie, uszli zagłady.

Telembski widzi zamieszanie, umie korzystać, zachęca swoich i z głośnym okrzykiem uderza na ośm śmigownic, których ogień najwięcej raził, zdobywa je w jednej chwili, a szwedzi uciekają.

Wszystko to uważał Borowy i Stanisław Bąk, ale sami oddzieleni, bojąc się napadu jazdy licznej, uczajeni za krzakiem, celnemi strzały przerzedzali wrogów, widzieli napad śmiały Telembskiego, widzieli jako dorazu działa umilkły w tamtej stronie, gdy znagła widzą popłoch pomiędzy swoimi, widzą z boleścią, że zwyciężają szwedy. Karol XII bo-

wiem, skoro ujrzał zdobyte działa śmiałym napadem Telembskiego, na czele jazdy sam uderza; nic mu się oprzeć nie mogło, odbiera armaty, a Telembski cięty od niego w ramię pałaszem, zaledwie uniesionym od przywiązanych został.

Już nie było nadziei poprawienia losu bitwy. Kurpie rozsypani ginęli pod szablami szwedów, jazda polska w rozsypce znalazła uchronę. Stanisław Bąk i Borowy chyłkiem do poblizkiego lasu uciekali, tam przyczajeni w gąszczu, zmordowani spoczęli.

Karol XII otrzymał pole bitwy i kazał ścigać zwyciężonych.

Telembski ciężko ranny, zaledwie oddychał osłabiony krwi upływem, trzymał go w swojem objęciu Jan Huczko, przywiązany szczególniej pachołek, który go prawie na ręku wypiastował i wszędzie nieodstępnie mu towarzyszył.

Przewieszony na koniu omdlał, nie czuł żalu z wydartego zwycięztwa, nie czuł boleści z odniesionej rany.

Huczko dowiózł tak swego pana aż na podwórze wojewodziny Działyńskiej; ujrzeli dworzanie rannego, poskoczyli i zanieśli do sypialnej komnaty na wygodne łoże.

Twarz wybladła, cały krwią zbryzgany, oczy zamknięte, bez przytomności leżał Telembski, przy nim stała sama wojewodzina i z wlepionemi oczyma wpatrywała się w oblicze młodzieńca.

Po wielu trudach i trzeźwieniu otworzył oczy i westchnął.

— Żyje!—zawołała w uniesieniu radości Działyńska.—Żyje!—i przyłożyła mu rękę do serca.

Przywołany lekarz zalecił jaknajwiększą spo-

kojność słabemu, opatrzył ranę i uspokoił troskliwość wojewodziny, że nie jest grożącą.

Działyńska usiadła przy łożu słabego w zamyśleniu, kilka razy westchnęła z boleścią, a najczęściej, przykładając mu rękę do serca, mówiła do siebie:

— Bije, ale jakże słabo, o gdyby tylko chociaż tyle dla mnie!

Karol XII po odniesionem zwycięstwie odjeżdżał do wiatraka, który jeszcze cały był w płomieniach, przy domku młynarza stało 30 kurpiów wziętych w niewolę.

— Tych chłopów bez butów wywieszać co do jednego!—zawołał z gniewem.—No! czego stoicie?—krzyknął w uniesieniu na swoich.—Karol niepowtarza rozkazu, tu na wierzbie po jednemu, a gdy braknie miejsca na stryczek, niech spróbują, jak teraz ciepło w wiatraku.

Zachęcone żołdactwo rzuciło się jak psy wściekłe na bezbronnych kurpiów, w jednej chwili kilkunastu wisiało na drzewie, dwom związali ręce i nogi, a rozbujawszy z początku, rzucili w płomienie; jęk nieszczęśliwych męczenników pobudził do śmiechu, po jednemu wybierali, a rzucając losy dla rozrywki, albo na drzewie powiesili, lub żywcem na pastwę płomieni rzucali.

Nad wieczorem zagasł ogień, gdy cały wiatrak spłonął; Karol XII przejeżdżał znowu, przypatrywał się powieszonym kurpiom, wtem koń się potyka mocno, spojrzał Karol na ziemię i ujrzał, że zdeptał ciało kurpia, spalonego na węgiel, którego trup jeszcze zawadził mu w drodze.

XIV.

August II i Szmigielski wspaniale przyjęci od szlachetnego Grudczyńskiego i aż do granicy dóbr jego odprowadzeni. Przy samym kopcu granicznym zatrzymał się Grudczyński, uchylił z uszanowaniem czapki i rzekł do króla:

— Najjaśniejszy panie!—dotąd byłem oponentem waszej królewskiej mości, będę i dalej, bo stoję przy sprawie nowego króla, najjaśniejszego Stanisława I, ale żądałeś schronienia w moim domu, dotrzymałem danego słowa; oto jest pewny przewodnik — wskazując na zaufałego Stanisława Zieńkiewicza, on w. kr. mość doprowadzi gdzie tylko zażądasz.

August ścisnął rękę wojewody.

— Tu! — rzekł, pokazując na serce — tu pamiątka i wdzięczność dla was, może jeszcze August znajdzie kiedy sposobność odsłużenia się wzajemnie.

— Panie wojewodo! — zawołał ze szczerotą Szmigielski — i my czuć umiemy waszą wspaniałomyślność podaj prawicę, a chociaż każdy z nas innej służy sprawie, przecież nawzajem kochać się możemy. I zbliżył się do Grudczyńskiego, który z rozjaśnionem czołem podał mu rękę.

— Zapomnijmy o dawnych zajściach, niechaj zaginą jak kamień w wodę; znajdziemy się jeszcze

tam, gdzie wspólna dla nas droga i sława zawoła każdego.

Zwrócił konia i pojechał dróżyną do dworu wiodącą.

Zieńkiewicz poprzedzając Augusta i Szmigielskiego, prowadził ich krętą ścieżką, albowiem niebezpieczeństwo nie zupełnie przeminęło, patrole szwedzkie ukazywały się jeszcze niekiedy.

Był lasek rzadki brzozowy, a za nim szerokie pola, jeszcze go nie przejechali, gdy z dala ujrzeli jeźdźca na koniu, który w całym biegu pędził i coś na długiej smyczy ciągnął za sobą. Wstrzymali konie i ukryli się w lesie; jeździec dążył śpiesznie do brzeziny i co chwila oglądał się po za siebie. Koń był zhasany, okryty białą pianą, zadyszany.

Zaledwie zbliżył się do lasu, gdy starosta wykrzyknął:

— To mój Hryć! a co on tu robi?—i głośno zawołał na niego.

Kozak poznał głos swego pana, z radością przybiegł, ciągnąc na długiej smyczy już zduszonego szweda.

— Dla czegoś go zadusił? — rzekł surowo Szmigielski — kiedym ci zalecił puścić go wolno.

— Ale to nie ten sam Memec, to inny, o niech no jaśnie wielmożny pan spojrzy, tamten miał szramę na pysku, ale to gładysz zupełny.

— Cóż się z tamtym zrobiło?

— Puściłem go, ale zwołał swoich, oskoczyli mnie, ledwiem uciekł, już i mego żmudzinka pochwycili, ale im się, dzięki Bogu, wydarł. Jechałem sobie szukać jaśnie wielmożnego pana, aż tu ten sam szwed stoi na koniu, a minąć ani sposobu; jakby na naszych stepach dzikiego konia na

harkan pochwyciłem, ściągnąłem i dalej w nogi. Ale tęgie strzelanie od Myszeńca i Ostrołęki słychać było, mówili tam nasi w jednej karczmie, że król szwedzki zabity, a wojsko jego całe co do nogi wystrzelane w lasach mazowieckich.

— A więc się sprawdza coraz więcej—rzekł z cicha Szmigielski do Augusta — nasza bohaterka ten mur żelazny rozbiła.

— Dzięki niech będą Bogu!—z westchnieniem odpowiedział August—fortuna sprzyjać nam zaczyna, daj Boże! żeby była stalszą, niż płeć, do której należy.

— Najjaśniejszy panie, przecież nie możesz narzekać na białogłowy, do których tyle masz szczęścia, nawet tak trudne hiszpanki!

— Ach! nie kończ, mój kochany starosto, to wspomnienie rani moje serce.

W istocie, miłość Augusta, o której Szmigielski wspomniał, należała do pierwszych lat wiosny życia, a okropny koniec tej, która była przedmiotem przywiązania wówczas jeszcze księcia, bolesne obudzał uczucia w duszy Augusta.

Młody August bawił w Madrycie, głośny bogactwy, urodą i olbrzymią siłą. Właśnie wyprawiano ulubioną hiszpanom walkę byków; wiele z nich już padło z ręki zapłaconych szermierzów, ale jeden rozsrożony i zajadły, powalił kilku, resztę rozpędził i z lekką tylko raną na czole biegał wściekły w pośród zamkniętych szranków. Nikt nie śmiał wystąpić do walki z rozsrożonym bykiem, długi czas trwało głębokie milczenie, wtem z amfiteatru zstępuje dorodny młodzieniec, a porwawszy od szermierza miecz obosieczny i szal czerwony, otwiera śmiało wrota i wchodzi na środek placu. Zwierz dziki ujrzał go, zaiskrzyły mu się oczy i z głośnym rykiem uderza na zuchwałego młodziana, który dla rozjątrzenia byka powiewał czerwonym szalem. Jednym rzutem staje przy nim i zdawało się, że już go porwał na rogi. Przestrach na twarzach obecnych widać było, ale krzyk przeraźliwy w jednej stronie znagła usłyszano; był to głos Donny Maryi, która widząc śmierć niechybną odważnego młodzieńca, zemdlała.

Ale jej trwoga była daremną, bo przytomny, rzuca szal na głowę zwierza, zasłania nim oczy, sam uskakuje i jednym zamachem obosiecznego miecza łeb ucina. Wytryska krew strumieniem z grubego karku byka, jeszcze stał chwilę, zadrżał i powalił się na piasek. Ze wszystkich stron głośne wzniosły się okrzyki i radosne klaskania, młodzieniec otworzył bramę i jako zwycięzca opuścił szranki.

Tym młodzieńcem był August, słyszał on krzyk przeraźliwy donny Maryi, chciał ją poznać, poznał i ukochał.

Miłość jego nie chciała widzieć żadnych przeszkód, któreby przełamać nie mógł; donna Marya była małżonką znakomitego hiszpana, który ją kochał, a kochał z szaloną zazdrością. August za pomocą włocha, co roznosił sałatę, i służącej, tyle ich zabiegami dokazał, iż we własnym domu jej męża widywał się nieraz.

Dostrzegł to hiszpan zazdrosny, widział, że niewinna i cnotliwa dotąd donna Marya nie mogła się oprzeć Augustowi; wściekły, nasadza zbójców przy wejściu do ogrodu, ale silny i zręczny książe zaledwie z raną mógł się z ich ręku wydobyć. Sam przypada do sypialni swojej żony, służącą sztyletem przebija, a gdy ta krwią własną zbroczona, tacza się na podłodze, z uśmiechem szatana

podaje młodej Maryi do wyboru sztylet lub truciznę.

Nieszczęśliwa wybiera drugą i w okropnej męczarni umiera.

Hiszpan traci zmysły, w szaleństwie unosi trupa tyle kochanej żony do ogrodu, tam grób wykopuje, grzebie jej zwłoki i z szablą dobytą strzeże, ażeby szczęśliwy kochanek nie wydobył tego skarbu.

Trzy dni bez pokarmu czatował, osłabiony wczołgał się na powrót do sypialni, tam leżał trup służącej i niedokończony przez Maryę puhar trucizny. Wypił resztę i stał w oknie otwartem z wlepionemi oczyma na mogiłę żony.

Jeszcze trucizna działać nie zaczęła, gdy zdało mu się, że dojrzał w ciemnej alei Augusta.

— To on!—krzyknął—wyskoczył oknem i padł na trawnik bez duszy.

Dowiedział się o wszystkiem August, natychmiast opuścił Madryt i Hiszpanię, pamięci jednakże nieszczęśliwej donny Maryi niczem zatrzeć nie mógł, i chociaż teraz zakochany był w pani Orzelskiej, dla której w Warszawie pyszny pałac we cztery niedziele wystawił i ozdobił, wspomnienie pierwszej miłości smutne w nim obudzało uczucia.

Dostrzegł to Szmigielski, i na inny przedmiot zwrócił uwagę.

Zieńkiewicz w milczeniu przysłuchiwał się opowiadaniu kozaka i zadrżał, usłyszawszy o klęsce Karola.

— W której stronie słyszałeś wystrzały? — zapytał starosta Hrycia.

— Zdaje się, że stąd — i wskazał na ciemne bory na prawo — widać, że grzmiało tam dobrze,

bo leśnicy mówili, że gruby zwierz stadami z legowisk uciekał.

— Wiele mil do Myszeńca? — rzekł August, obracając się do Zieńkiewicza.

— Najjaśniejszy panie, pięć dobrych stąd liczymy, na 20 godzinę będziem mogli stanąć, ale tu w krzakach spocząć musim, gdyż trzeba przejrzeć przesmyk pola, czy się nie kręcą szwedy.

Ukryli się w krzakach, Zieńkiewicz pośpieszył nieznaczną dróżyną, kozak na brzuchu wyczołgał się na piaskowy wzgórek, zwany „Dyabli taniec“ i sokolim okiem pozierał w około. August i Szmigielski pod płaczącą brzozą w milczeniu stali, August myślał jeszcze o donnie Maryi, starosta na dobytej szabli rachował szczerby, z których każdy przypominał mu oddzielną walkę i zwycięstwa.

XV.

Już ucichło wszystko, podnosząc się z gęstwiny, rzekł Borowy do Stanisława Bąka:

— Czerwone dyabły pognali w insze strony, trzeba nam pójść wyżarami, a tam nas i ogary nie wytropią.

Darli się przez gęste zarośla, ledwie wyszli na drożynę wązką, usłyszeli jęk bolesny; niedaleko leżał Jonek Łopucha, kulą mając przestrzeloną nogę, i omdlały Kwiczoł, trzy razy cięty pałaszem w głowę.

— O, moje biedactwo! jako się tyra, ani opatrzenia, ani pomocy! — zawołał z boleścią Stanisław. — No, kumie! weźta Kwiczoła na siebie, a ja podźwigam Jonka do chaty.

Borowy, jakby małe dziecię, wziął na ręce Kwiczoła, Stanisław na barkach przewieszonego unosił Łopuchę. Kilka razy spoczywali, nim doszli do chaty, gdzie na rozesłanej słomie, dla Karola XII przyniesionej, złożyli rannych kurpiów.

Małgorzata, już uspokojona, że mąż wrócił zdrowo, krzątała się skwapliwie, by ulgę jaką przynieść słabym. Otrzeźwiła Kwiczoła, zawinęła rany i przyłożyła znajome zioła; ale rany były głębokie, to zwróciło jej uwagę i rzekła do Borowego:

— Mój kumie, czyby nie lepiej było przywołać starej Maciejowej? ona umie zażegnać, to się zaraz zgoi.

— Niech przyjdzie i dyabeł albo sam Twardowski, a nietylko ta stara czarownica, aby pomogli—odpowiedział z gniewem Borowy—dużo będzie miała do roboty, bo dużo nakaleczyli naszych te czerwone dyabły.

— Zdaje się, lepiej zawołajcie pastuchę z Dąbrowy, to człek pobożny, zna się na ziółkach, nie wdawać się z czarownicą, bo zawsze kto z Bogiem, to i Bóg z nim.

— Zapewne, macie prawdę, mój kumie—rzekł Borowy do Stanisława — im może ostatnia godzina niedaleka, tu z Bogiem trzeba się pojednać, a chcecie czarownicę sprowadzać, żeby dyabłu dusze niewinne oddała; alboż jej nie znacie? wszak ci to całe wesele łońskiego roku niedaleko stąd w wilkołaki zamieniła.

— Prawdać to, prawda—odpowiedziała na dowody Borowego Małgorzata z zamyśleniem—to poszlę Jaśka po pastuchę, albo co? Jaśku! Jaśku! pokłońta się staremu z Dąbrowy i prośta, niech poratuje biedaków.

Jaśko wsiadł na konia, żeby prędzej doleciał do wsi.

— A widzita, kumie — rzekł po chwili Borowy do Stanisława—jak nam na złe wyszło, żeśmy wypuścili króla; spał na tej słomie, gdzie teraz krew naszych ciecze.

— Toć to był król?—zawołała z podziwieniem Małgorzata, załamując ręce—a on tak wyglądał jak i inny człowiek.

— I widać — rzekł z uśmiechem Stanisław — że mojej Małgosi przyprawy smakowały mu, gajdaki i kiełbasy, bo zajadał dobrze.

— Może się za to odsłuży wam, kumie, za noc da noc wieczystą i posłanie na cmentarzu, za gajdaki — kule, a za kiełbasy smaczne — postronek na szyję.

Mówiąc te słowa, ciężko oddychał Borowy.

— Bogu tylko wiadomo, jaki koniec nam przeznaczył, niech się stanie święta Jego wola!

Borowy nic nie odrzekł Stanisławowi, zbliżył się do rannych:

— Przecie usnęli, niech spoczną sobie, ale byli w dyabelnym tańcu. No, ja idę zajrzeć, co się doma dzieje, bywajta zdrowi!

Zarzucił torbę na plecy i poszedł w las nieprzejrzany.

Tymczasem rozbici Kurpie rozn eśli przestrach i trwogę, niedługo w całej okolicy głośno mówiono o przegranej. Z boleścią dowiedziała się wojewodzina, nie upadła na duchu i męztwie, taiła wszelako przed Telembskim, ażeby nie pogorszyć zmartwieniem stanu rannego.

Nieznajomy młodzieniec, który tyle odwagi pokazał w pierwszem zwycięztwie i pobiciu Karola XII i później w zdobyciu cmentarza ostrołęckiego, zamyślony siedział w wielkiej sali i pierwszy raz ogromny do razu wychylił puhar pełny starego węgrzyna, przeszedł się kilka razy, znowu podstawił próżny do czopka średniej beczki, napełnił i wypił.

— Ona go kocha! — zawołał gniewny — kocha, siedzi nad łożem, pielęgnuje, a gdyby mnie kula rozdarła, czyżby westchnęła, zapłakała? A widziałem, jak go przynieśli omdlałego, łzy w oczach. O, czemuż w boju nie ległem! byłbym szczęśliwy, nie tyle cierpiał, a teraz...

Przeszedł się znowu wielkiemi krokami i na-

pełnił puhar, ale wstrzymał się, postawił go na stole, z zamyśleniem.

— Chcę się upić, stracić zmysły, żebym nie czuł, lecz cóż ona powie, gdy ujrzy pierwszy raz w życiu zalanego trunkiem, co przez wino traci przytomność? precz odemnie! — i zrzucił puhar ze stołu.

— Gdyby widziała moje cierpienia, troski i szaleństwa? możeby ich litowała, może nie wie o mojej miłości?

Ta uwaga go zastanowiła, ale po chwili rzekł z gorzkim uśmiechem:

— Nie wie! razem prawie chowaliśmy się, razem wzrastali, wiedziała dawniej, nim została panią wojewodziną. Oddaliłem się z tych miejsc smutnych, tyle lat! teraz wdowa, znowu swobodna, wolna kajdan małżeńskich, jam jej nie zapomniał, nie mógł, kocham, jak dawniej, nawet więcej, a ona!

Zakrył twarz rękoma i rzewliwie, jak dziecię, zapłakał.

— I czego pisklę płaczesz? czyś jej mówił, czy widzi łzy twoje? Widzę, że kocha innego, a tu siedzę jak przykuty!...

Wtem odgłos trąb przybyłych nowych chorągwi obudził młodzieńca z dzikich marzeń, krew w nim zawrzała, pochwycił za kord krzywy, serce biło mocniej, w tej chwili oddychał tylko wojną!

XVI

Na dworze u wojewodziny Działyńsklej brzmiała muzyka, wielka sala jadalna przepełniona była zebraną szlachtą i znakomitymi panami. Przy dużym stole siedział król August, przy nim z jednej strony wojewodzina, z drugiej Szmigielski, dalej nieznajomy młodzieniec, na przeciw osłabiony jeszcze i wybladły Telembski, resztę stołu zajmowała szlachta z okolic, która dzielnem ramieniem wspierała prześladowanego od losu Augusta.

Po pierwszem daniu zdjęto obrus zwierzchni, pod nim ukazał się drugi bagato złotem przeszywany, który zastawiono nowym serwisem.

— Jesteśmy zachwyceni, — rzekł z zwykłą uprzejmością August do wojewodziny, — istotnie zachwyceni i tak niespodziewanem przyjęciem i ujrzeniem tak pięknej bohaterki, co króla nieszczęśliwego sprawę podniosła.

Działyńska z rumieńcem oczy spuściła.

— Najjaśn. panie, nietylko mnie ten dank należy, są i inni co zasłużyli na względy w. kr. mości i wskazała na nieznajomego młodzieńca i Telembskiego.

August poznał ostatniego pierwej, na młodzieńca spojrzał z uwagą:

— Któż to taki? — zapytał.

— Jest to młody Grudczyński, — rzekł Szmi-

gielski z cicha do Augusta, — którego ojciec silnym będąc w. kr. mości przeciwnikiem, przyjął nas tak szlachetnie.

Król kazał podać sobie wielki szczerozłoty puhar, napełniony tokajem, a powstawszy i wznosząc go w górę, zawołał:

— Pijemy zdrowie zacnej gospodyni, której tyle winniśmy i wasze, obracając mowę do Telembskiego i Grudczyńskiego, jako kawalerów orderu orła białego.

W tym czasie bowiem ustanowił pomieniony order August w Tykocinie, był to pierwszy w Polsce, dotąd nieznany, bo szlachta zazdrosna własnych przywilejów i równości, nie przyjęła dawniej jeszcze projektowanych od Władysława Łokietka i Władysława IV, który chciał postanowić order Niepokalanego poczęcia N. Panny Maryi, a sławny Jerzy Ossoliński wygotował już jego ustawy.

Z uszanowaniem i rozrzewnieniem przyjęli ten dar łaskawego monarchy.

— Słyszeliśmy — mówił dalej, — że jeszcze wielu innym podziękować musiemy.

Działyńska dała znak, pan podstarości Dębołęcki wystrojony w czarny grodeturowy kontusz, w pąsowy atłasowy żupan, karabela w błyszczącą stal oprawna, wisiała przy boku, na znak dany zakręcił wąsa, poprawił pasa i wyszedł z powagą.

W izbie czeladnej czekali przywołani Stanisław Bąk i Borowy. Pan podstarości ich przywołał do przedpokoju, gdzie stanąwszy przed zwierciadłem i probując jak lepiej przystaje czapeczka, rzekł zwolna do Kurpiów:

— Jego ekscelencya najjaśniejszy Rex Polonix, Magni Ducatus Lithuanio, król August II, chcąc wam okazać w konsekwencyi, sentymenta-

swoje, które raczył skoncentrować w jeden punkt łaskawości, raczył wydać mi ustny ordynans do konwokowania was przed swoją personę.

Kurpie spojrzeli po sobie, ani słowa nie rozumiejąc.

— Polityka najjaśn. pana zniżyła się i do plebsniskiego, a konsekwencyą (gdyż to był ulubiony wyraz pana podstarościego, razem z punktem sentymentów) sami zobaczycie.

— Wielmożny panie! — rzekł Borowy, — strasznie górno pan wielmożny gada, a my pro staczki sobie po miemecku nieumiemy.

— Prawda, prawda! zapomniałem, — odpowiedział, nie zważyłem na konsekwencyą, gdy wyższego tonu, werbów, prowerbów i sentenij używałem. No! panie leśniczy, rzekł do Borowego, król was chce widzieć, razem z panem bartnikiem Bąkiem.

Kurpie wytrzyszczyli oczy z podziwienia, tem więcej, słysząc, że ich panami nazywa ów groźny dawniej podstarości.

— Ale prosze wielmożnego, — z zakłopoceniem odezwał się Borowy, jakże ja do króla gadać będę? — i poskrobał się po głowie.

— Najlepiej nic nie mów, tylko się kłaniaj, a gdybyś chciał koniecznie, zawsze zaczynaj: najjaśniejszy panie, lub miłościwy królu. No chodźcie za mną a ostrożnie, żeby się z was który nieprzewalił na śliskiej posadzce.

Zdjął czapeczkę, ułożył ją zgrabnie pod pachą, zarzucił wyloty od kontusza, pogłaskał wąsa i czuprynę, otworzył wielkie podwoje, sam wszedł naprzód za nim Bąk i niedźwiedziego składu ciała Borowy.

Król August spojrzał na nich; pan podstaro-

ści jak najniższe bił pokłony, Stanisław i Borowy nieporuszeni stali. Król z ciekawością przyglądał się ich postaci i ubiorowi, który był wykwintniejszy, świąteczny, bo się wystroili, wiedząc iż przed Augustem staną.

Borowy długie włosy miał w tył zaczesane, gęste ich sploty zakrywały kark gruby i niski; koszula biała, mosiężnym guzikiem spięta pod szyją, na niej kamizela granatowa, ozdobna takiemiż guzikami, spodnie płócienne, na nogach kurpie, zwierzchnia sukmana kawowego koloru, wdziana na rękawy, kapelusz okrągły z dużemi skrzydłami, przystrojony czerwoną wstążką; był bez torby i strzelby, ale kordelas wisiał przy boku. Takiż sam ubiór miał Bąk na sobie.

August przywołał ich bliżej do siebie, a patrząc na olbrzymią Borowego postać:

— Musisz być silny.

— Tak jest, jaśny panie! W tej chwili pan podstarości pociągnąwszy go za sukmanę z tyłu.

— A gadajże: miłościwy królu!

Niezmięszany Borowy powtórzył:

— Tak jest, miłościwy królu, zduszę niedźwiedzia.

— Kto wie, może mocniejszy odemnie, — rzekł król z uśmiechem do wojewodziny.

— Potrafisz zgiąć ten pieniądz? — i podał mu gruby talar.

Borowy ledwo się go dotknął, zwinął w dwóch palcach jak papier.

August się zadziwił. Wtem starosta Szmigielski już podchmielony, zawołał:

— Pozwolisz, najjaśn. panie i to jest dowodem niemałej siły, ażeby talar rzucony na posadzkę ugrzązł do trzeciej części.

Borowemu podano pieniądz; nie śmiał rzucić w przytomności króla i tylu panów, przykląkł więc i dłonią wcisnął w podłogę prawie cały talar.

— Do stu tatarów! — wykrzyknął Szmigielski, — ja nie widziałem jeszcze podobnej siły, onby człowieka jak ptaszka na ręku uniósł.

— O! jaśnie wielmożny panie, my i to potrafiemy. Zwrócił się, a widząc najbliżej pana podstarościego, wsunął mu rękę pod żupan i podniósł w górę. Pan podstarości zmięszany, skręcił się do razu, wypuścił czapeczkę zgrabnie ułożoną z pod pachy, już miał zlecieć, gdy Borowy drugą ręką poprawił go sobie i przytrzymał.

Śmiech powstał w około, a pan podstarości bladł i czerwieniał jak upiór ze wstydu i gniewu. Kurp lekko spuścił rękę ku ziemi, pan podstarości skoczył w złości, poprawiając zgniecony żupan i kontusz, stanął w rogu komnaty przy oknie i strzepywał kurzawę ze swojej czapeczki.

— Moi przyjaciele,—rzekł król po chwili,— winienem wam wiele wdzięczności, czymże odpłacę? jedynie sercem i złotem, i rzucił sporą kiesę złota; ale żaden z kurpiów nie posunął się do jej pochwycenia, upadła z brzękiem na ziemię. Pan podstarości skoczył od okna, podniósł worek i chciał oddać Borowemu, lecz ten odsunął go ręką, zbliżył się więcej do Augusta i rzekł:

— Miłościwy królu! krew się złotem nie płaci, my nie dla złota walczyli, pieniądz za kulę nie stanie, ani też doda odwagi, jeszcze się zda złoto dla panów, kurpie krwią nie handlują, ani na borg puszczą.

Król z podziwieniem spojrzał na prostego wieśniaka, co tak śmiało mówił, a obróciwszy się do Bąka:

— Może wy przyjmiecie?

— Nie! najjaśniejszy panie, jednako myślima.

— A wszakci kuma, — rzekł z prostotą Borowy, — niechciał worka przyjąć od króla szwedzkiego, kiedy przespał w jego chacie.

— Jakto! — zawołał August, — Karol XII był u was?

— Tak jest, miłościwy królu, — odpowiedział Stanisław Bąk, — był, ale w mojej chacie, a kto pod dachem jest Kurpia, ten spać bezpieczny może.

— Widzę, że cnota gościnności jest powszechną w narodzie polskim, — rzekł August, a obracając mowę do Szmigielskiego: — wszakżeśmy niedawno sami doznali jej na sobie.

Pan podstarości stał z workiem w ręku, nie wiedząc co robić; z niskiem ukłonem już kładł na stole, gdy król zawołał:

— Rozdać to na służbę dworską, a o nich — wskazując na Kurpiów — pomyślemy.

Pan podstarości krokiem poważnym wyszedł z sali, ażeby dopełnić rozkazu królewskiego, stanął już na ganku, właśnie zabrzmiała muzyka liczna, gdy ujrzał jeźdzca, pędzącego co siła gościncem. Koń wysilony biegiem, przed samą bramą upada, jeździec zręcznie zeskoczył i spojrzał z żalem na niego; tarant robił mocno bokami, napróżno usiłował dźwignąć się z ziemi, jeździec widać miał pilne zlecenie, bo prędko przebiegł dziedziniec.

— Czy jest król? — zapytał podstarościego.

— Właśnie najjaśn. pan obiaduje — i schował trzos trzymany w ręku do kieszeni, nasadził czapkę na głowę, chcąc okazać przybyłemu wielkie znaczenie swoje.

— Ja cierpieć nie mogę zwłoki, donieś królowi, — rzekł klepiąc go po ramieniu, — że kapitan Brand chce się widzieć z jego król. mością.

Pan podstarości zdjął czapkę i z niskim ukłonem otworzył wielkie podwoje jadalnej sali, a kurzem okryty wszedł kapitan saski i oddał królowi depeszę.

Pomięszany August czytał wiadomości przysłane, kilka słów z cicha przemówił do Działyńskiej i Szmigielskiego. Starosta się porwał, dobył korda i silnym głosem zawołał:

— Do broni! bracia, bo już szwedy nie daleko.

Borowemu ogniem zabłysły oczy, młody Grudczyński i Telembski dobyli szabel, a za ich przykładem wszyscy; umilkła muzyka, jeden tylko odgłos brzmiał w sali:

— Do broni! do broni!

Pan podstarości, właśnie siedząc w jednej komnacie nad butelką węgrzyna, zbierał punkta sentymentów, gdy usłyszał wrzawę i odgłosy liczne: Do broni! do broni! — kiwnął głową i rzekł sam do siebie: obaczymy konsekwencyę jaka ztąd wypadnie.

Wylał resztki w kieliszek, a dopijając pomrukiwał: ciekawym konsekwencyi, jaki punkt dla siebie obiorą sentymenta szlachty i najjaśniejszego pana.

XVII.

Noc była ciemna, księżyc w całym przyświecał blasku i nieprzeliczone gwiazdy iskrzyły się na niebie, śnieg okrywał pola i obnażone z liści drzewa; na ustroni stało kilka chat wiejskich, wkoło milczenie, czasem tylko przerywane szczekaniem psów, co wietrzyły wilka, lub cudzego we wsi.

Żadnego tam światła nie było widać, gdy znagła w narożnym domku zajaśniało; po skrzypieniu śniegu zmiarkować można, że choć północ, ktoś przybywał, bo i psy poczuły, gdy gromadnie oskoczywszy niewielki dziedzińczyk, ciągle naszczekiwały.

Ale nie było w tej chacie radości; stary Przezdziecki, dawny rotmistrz chorągwi pancernych, jęczał w bólach, jego córka Anna, młoda, bo zaledwie 15 wiosnę licząca, niewinna jak anioł, klęczała przy łożu ojca.

— Moje dziecię — rzekł starzec przerywanym głosem — i dla mnie kreska przychodzi, czas oddać Bogu duszę a ziemi ciało. Wkrótce połączę się z moją kochaną Marysią, z twoją matką; nie płacz daremnie, łzami nie odwołasz ostatniej godziny, nie przedłużysz życia ojcu.

Po chwili z trudnością podniósł się na łożu, westchnął z boleścią, kazał podać krzyż srebrny

z Chrystusem, przeżegnał się nim, ucałował kilkakrotnie i słabym głosem zanucił:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu,“

prześpiewał pieśń całą i kładąc drżące ręce na głowie niewinnej Anny, rzekł:

— Daję ci moje błogosławieństwo rodzicielskie, niech cię Bóg strzeże od wszelakiego złego, pamiętaj na matkę, ona wzór ci zostawiła z siebie.

I otarł łzy z sędziwego lica.

Wtem na podwórzu zaszczekały psy domowe. Anna wybiegła.

Niedługo roztworzyły się drzwi komnaty, wszedł Borowy, dźwigając omdlałego i krwią zlanego młodzieńca.

— Pomaga Bóg!—rzekł wchodząc i kładąc na łożu próżnym przy starym wojowniku omdlałego.— Ledwiem go uniósł z pola bitwy—rzekł Borowy— trzeba mu dać ratunek, jest to paniątko delikatne, a nigdzie żadnej nie znalazłem chaty.

Anna przywołała starą gospodynię, która leczyła w okolicy i za doktorkę okrzyczaną była; zdjęto odzienie, obmyto mu rany, był cięty w głowę pałaszem, a ugodzony kulą w prawą stronę piersi.

Stary Przezdziecki, sam blizki ostatniej godziny, zachęcał córkę i gospodynię do rychłego ratunku.

Borowy po wytchnieniu, posilony wódką i jadłem, zaczął opowiadać o stoczonej bójce.

— Biliśmy się długo, nakładli szwedów stertami na polu i sam nasz król był i wiele szlachty; bójka trwała cały dzień jeden i drugi, ale nasi nie mogli się na górze utrzymać; jak też ustąpili, przepadło wszystko, król musiał ustąpić, nasza pani wojewodzina...

— Zginęła!—z boleścią zawołał Przezdziecki.

— Nie wiemy, co się stało, jedni mówili, że zginęła, drudzy, że zabrali ją czerwone dyabły; naszych Kurpiów wiele naginęło, nie mało z panów szlachty, bo też zażarcie się bronili.

— Więc szwedy otrzymali pole bitwy?—zwyciężyli, niestety, garstkę najodważniejszych!

Borowy kiwnął głową, westchnął i już miał odpowiedzieć, gdy Anna usłyszawszy omdlałego młodzieńca odetchnienia, wykrzyknęła z radością:

— Żyje! żyje! zaczyna oddychać!

— Dzięki Bogu! — rzekł stary Przezdziecki — niech mu nikt nie przeszkadza, może uśnie trochę.

Borowy cicho odszedł do izby czeladnej wraz z gospodynią.

Anna uklękła przed obrazem Matki Boskiej i modliła się z całem uczuciem religijnem.

Stary Przezdziecki oddychał ciężko na łożu boleści.

Zegar ścienny uderzył drugą godzinę, ciemność panowała, rozjaśniona słabym blaskiem lampy, płonącej na kominku.

Ranny młodzieniec zasypiał, westchnął głęboko kilka razy i po każdem, przez sen słabym głosem wymawiał wyrazy:

— Dalej! naprzód! już jej niema! zginęła! nie żyje! Ostatnie „nie żyje“ z boleścią wyrzekł i mocno jęknął.

Borowy, w izbie czeladnej uczęstowany, rozprawiał z zwykłym zapałem o bójce wczorajszej pani gospodyni i zgromadzonej czeladzi, która zbudzona ze snu, wielki osiadła komin.

— To dużo naszych naginąć musiało?—rzekła pani Marcinowa (tak bowiem z męża nazywano gospodynię).

— O, nie mało!—odpowiedział Borowy—tylko co wyszliśmy z lasu, ujrzeliśmy czerwonych dyabłów na polu i we trzech wioskach było ich pełno, jak kawek na słotę.

Król ze szlachtą i trochę swoich sasów, stanął nad błotami, nasi Kurpie osadzili pagórek, nasza pani była z nami, wtem szwedzi uderzyli. Zaczęliśmy im trzepać skórę, już się cofali, gdy znagła się i z tyłu pokazali; ze dwóch stron napadnięci, napróżno wszelaka obrona, rozbici musieliśmy opuścić wzgórek tem bardziej, gdy nasza pani nie wiedzieć gdzie się podziała. Jak też nas pobili, i król musiał ustąpić, i nie wiedzieć gdzie teraz się obraca. W Myszeńcu spalili wiele domów, zaledwie kościół uratowano, a i to jakby cudem!

— Nic dziwnego—rzekła pani Marcinowa — ogień świętego nie ima się domu, a potem jest obraz tam cudowny.

— W lesie, opowiadał nam sąsiad Łopucha, co tylko podniósł się z łóżka, że Boruta opuścić musiał swój zamek w Łęczycy, gdzie skarbów pilnuje, bo słyszał jak się wyśmiewał z naszych, przelatując z sosny na sosnę. I jać go słyszałem, ale wtedy wybiliśmy szwedów, a teraz — i zwiesił ze smutkiem głowę Borowy.

— No, no, proszę—zawołała pani Marcinowa, to i prawda co o nim gadają?—i z bojaźnią przysunęła się do komina.

— Co prawda, to nie grzech — odpowiedział Borowy—swój zawsze swego wspiera i chociaż tak daleko Boruta siedział, przywędrował czerwonym dyabłom na pomoc.

— Niewiele on się zmorduje — odezwał się Marcin, leśniczy, mąż pani gospodyni, który dotąd spokojnie siedział — czyż nie wiecie, że jak stąpi to mila, jak skoczy to dwie.

— Takci to gadają—pomruknął Borowy; wtem krzyk młodej Anny poruszył wszystkich, z pośpiechem skoczyła od komina pani gospodyni, za nią leśniczy, Borowy nalał spory kieliszek wódki, wychylał go spokojnie, gdy wbiegł blady Marcin i zawołał:

— Już skończył! umarł.

XVIII.

Po zwycięzkiej dla Karola XII walce pod Myszeńcem, gdzie rozbiwszy Kurpiów, parł Augusta z niedobitkami, zostawia generała Steinflicht wraz z pułkownikiem Rebinderem do zupełnego ujarzmienia bohaterskich mieszkańców obszernych lasów Mazowsza, a sam dąży w ślady nieszczęśliwego króla polskiego.

August uchodząc, stawił mu opór pod Kiissowem we 12000 sasów 12000 polaków. Karol, mając mniejszą o połowę armię, przyjmuje wezwanie i rozpoczyna walkę.

Bójka była krwawą a zwycięztwo niepewne; już się zdawało nawet przechylać na stronę Augusta, tem więcej, gdy ugodzony kulą armatnią spadł z konia książe na Gotorpie i po krótkiej męczarni skonał. Karol XII stał nad jego zwłokami chwilę i pierwsze a ostatnie łzy w swojem życiu wojownikowi temu poświęcił; ale po ukazaniu tego żalu poskoczył na konia z nowym zapałem, jakby chęcią zemsty wiedziony i na czele jazdy rzucił się w szeregi nieprzyjacielskie. Napad był tak gwałtowny, że go dotrzymać nie mogły wojska i w rozsypce szukały ocalenia; dostrzegł to wcześnie August i sam na czele dragonów saskich i jazdy polskiej pod dowództwem starosty Szmigielskiego, śmiało postawił czoło szczęśliwemu bohaterowi. O-

bydwaj królowie jak prości walczyli żołnierze, w niczem nieustępując męztwu i narażaniu się w tej walce. Olbrzymią siłą zrzucał z koni August szwedów, a każdy cios, który z silnej wymierzył dłoni, był śmiertelny; przy jego boku walczył Szmigielski, który nie wiele ustępował królowi i w sile i w męztwie; w zapale i uniesieniu rzucali się w tłumy, gdzie wrzała najkrwawsza bójka, a kędykolwiek błysły ich szable, przerzedzały się szeregi, powstał popłoch i trwoga. Karol XII, oskoczony zewsząd, długim, prostym rapirem, odcinał się mężnie i otwierał drogę do swoich, na których czele stanąwszy, na nowo rozbijał szeregi saskie.

W zamieszaniu i kurzawie trudno było rozpoznać, która strona górę bierze, bo walka na jednejże trwała równinie, niekiedy tylko dojrzeć można pojedyńczo uciekających wdali, spadających z koni. August oddzielony, sam pchany w tłumie, zaledwie mógł władać orężem, po chwili przecie utorował sobie przejście i zwaliwszy z konia drabanta szwedzkiego, który go silnie napierał, spojrzał do koła, ujrzał w pobliżu chorągiew polską z białym orłem i poskoczył ku niej. Na jej czele Telembski stawiał mężny opór zastępom liczniejszych szwedów, gdzie sam Karol XII dowodził. Obaj królowie spotkali się z sobą, ale zamiast walki osobistej, jak w dawnych rycerskich wiekach było pospolitem, uprzejmie się pozdrowili; uchylił kapelusza August, odkłonił mu się Karol XII z surowem spojrzeniem.

Walka jeszcze trwała uporna, ale na prawem skrzydle zwyciężyli szwedy; rozbici popłoch zanieśli na lewo, wszystko poszło w rozsypkę. Napróżno zachęcał, przywoływał August, napróżno z kilku chorągwiami odnowił walkę Szmigielski, działa

szwedzkie przerzedziły je wkrótce, a król polski z rozdartem sercem musiał, uchodząc, patrzeć na zwycięzkie sztandary Karola XII.

W nieładzie parci sasi i polacy pierzchali w rozmaite strony, niemogąc nawet dział uprowadzić; August w towarzystwie kilku oficerów spieszył przez pola do poblizkiego lasu, gdzie bezpieczniejsze schronienie uważał, ale dostrzegł to nieprzyjaciel. Drabanty odcięli mu drogę, już się miał za zgubionego, bo osobiste męztwo ani siła nic nie pomagały na przeciw liczbie szwedów, ale w tejże chwili przypada Telembski ze swoją chorągwią.

— Górą nasi, górą!—zawołał, rozprószył nieprzyjaciół, otworzył drogę do lasu i już mieli w nim bezpieczniejszą ustroń znaleźć, gdy rzęsisty ogień ręcznej broni i dział szwedzkich ich powitał. Telembski rzuca się naprzód, ale kula armatnia powala go z koniem, inni w popłochu i trwodze pierzchają.

August z jednym tylko kapitanem Brand dostali się szczęśliwie do lasu i manowcami uchodzili. Karol XII zaniedbał korzystać z tak wielkiego zwycięztwa, po spoczynku niedługim ruszył drogą do Krakowa i zajął tę stolicę starodawną. — Król polski, zmordowany, chciał spocząć, bo i koniom trzeba było wytchnąć, nimby dalej na nich podróż przedsiębrać.

— Najjaśn. panie!—rzekł Brand—w tym gęstym lesie możem spocząć, nie słychać nic w około, nieprzyjaciel się zatrzymał.

August nie odrzekł słowa, zsiadł z konia, zdjął kapelusz i otarł pot gęsty z czoła.

— Nieszczęście ciągle mnie ściga, mój kapitanie — wyrzekł te słowa monarcha z głębokiem westchnieniem, a muszę patrzeć, muszę, jak wszystkich los prześladuje, co wspierają naszą stronę. Zaledwie błysła gwiazda pomyślna, tyle krwi, męztwa, spełzło do razu; napróżno moi wierni poddani chcecie tron nieszczęśliwego wspierać króla, zostawcie go losowi, niech się napastwi dowolnie.

— Najjaśn. panie! jeszcze tracić zupełnie niemożem nadziei.

— O! przestań, przestań uwodzić się nadzieją, ileż razy ona już nas zawiodła, czyż teraz zawierzać możemy? Spojrzyj na pole bitwy, ileż tam mężnych moich przyjaciół i poddanych legło, jakaż wreszcie—zawołał z gorzkim uśmiechem August—może być nadzieja? Mężni Kurpie, którzy zgruchotali raz potęgę Karola, teraz zgnębieni, a ich bohaterka zapewne poległa; ostatek wojsk moich, które z wysileniem zebrałem, rozbity, rozprószony; i jakżeż można jeszcze mieć nadzieję, czy cię ona jeszcze uwodzi, kapitanie? Ale Brand zamiast odpowiedzi położył palec na ustach, na znak milczenia, gdyż słychać było chrzęst w gęstwinie. Nieustraszony August porwał za pistolet turecki, bogato w srebro oprawny, który miał za pasem i zmierzył celnie, gdy znagła opuścił rękę.

— To nasz dzielny kozak—zawołał—a gdzie twój pan?

Był to Hryć znajomy, który w ogólnej porażce w lesie szukał ochrony.

— Miłościwy królu!—odpowiedział, zdejmując czapkę—Bóg wie, gdzie się teraz obraca.

— A znasz tę okolicę?—spyta August.

— Jakby nasze stepy, bo tu nie raz polowaliśmy.

— Dzięki niebu!—rzekł król do Branda—mamy dobrego przewodnika, prowadź nas

— Gdzież rozkaże król miłościwy?

— Do Sandomierza, tam jeszcze trzymają się moi.

Kozak ruszył naprzód, August za nim, a kapitan Brand obok towarzyszył elektorowi saskiemu, który tytuł tylko „króla polskiego“ nosił.

XIX

Huk dział i ręcznej broni rozlegał się jeszcze, gdy Telembski stał zadumany nad zabitym koniem.

— Cóż się dzieje z królem, gdzie się obraca?—pomyślał, cóż ja teraz pocznę bez mojego bułanka?

Łzy mu się zakręciły w oczach, westchnął i poszedł wązką drożyną, wiodącą w bór ciemny. Zamyślony i stroskany nie rozpoznawał okolicy, którą przebywał, gdy nagle odgłos dzwonka z wieży kościelnej na Anioł Pański obudził go jakby ze snu; ukląkł, nabożnie odmówił modlitwę i z rozrzewnieniem ucałował ziemię.

— Czy to tu, czy nie tu? — mówił do siebie, takiż las i kościołek, i pole, gdzie nie raz szczwaliśmy zające; ale powinien być krzyż na rozstajnych drogach, przy nim jarzębina, dalej kościołek, a potem dwór, gdzie moja Zosia—westchnął i przysporzył kroku.

— To tutaj jestem, w Jazdowie!—zawołał uradowany—otóż krzyż i jarzębina, i kościołek, lecz cóż się to dymi? ach, dla Boga! to się pali.

Wybiegł na wzgórze i ujrzał kilka chat płonących, oko jego chciało dojrzeć dwór biały, ale czarne słupy dymu zasłaniały go zupełnie.

— Święty Stanisławie! ratuj nieszczęśliwych— zawołał i biegł co siły.

Odgłos dzwonu kościelnego, który wziął za wezwanie do modlitwy, wzmacniał się coraz, ale było to dzwonienie na gwałt; ciemne bałwany dymu i płomieni przy zachodzącem słońcu odbijały się mocniej. Przybiega do wsi, jakiż okropny widok! większa połowa już spalona, zwalone ściany, a powały w dużych głowniach żarzyły się jeszcze, samotne sterczały kominy, reszta w płomieniach, dzieci nagie matki z płaczem unosiły z pożaru.

Telembski przebiegł wieś całą, pot zimny go oblał, oczy jego zwrócone były tylko na dwór biały, ujrzał go.

— Nie pali się! — wykrzyknął i wbiegł na podwórzec.

Podwórzec był pusty, cichość grobowa, nikt nie wyszedł; pomieszany wchodzi na ganek, drzwi otwarte pierwszej i drugiej komnaty, idzie zwolna aż do sypialni, jakiż obraz!

Stary Ordon w podartej bekieszy siedział przy ogniu na kominku roznieconym i zranioną nogę z krwi ocierał.

Żona jego z zapłakanemi oczyma, okryta lisią jubką, stała przy kolebce, w komnacie wszystkie sprzęty i rzeczy w największym nieładzie i nieporządku, przez wybite okna wiatr poświstywał.

Nie zważali przyjścia Telembskiego, stanął on przy wejściu i patrząc na ten widok, gorzkiemi zalał się łzami.

— Matko Boska Częstochowska! kto tutaj?— krzyknęła niedługo z przestrachem pani Ordonowa.

— Czy nie poznajecie?

— To nasz poczciwy Stasio! — zawołał stary Ordon—skądże Bóg prowadzi?

Telembski nie mógł od łez słowa przemówić, ucałował ręce pani Ordonowej, uścisnął samego

i zbliżył się do kolebki, chcąc małą Jadwisię powitać.

Nachylił się, nagle wzrok jego zdziczał na widok twarzy krwią zlanej, w milczeniu obrócił się do matki i palcem krew zsiadłą na licach dziecięcia ukazał.

— Śpi, śpi, moja Jadwisia — rzekła pani Ordonowa i zaniosła się od płaczu.

Stary Ordon otarł łez kilka spadłych na wąs siwy.

— Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze, moja Małgosiu, niech się dzieje święta Jego wola!—i uchylił głowę, słowa te wymawiając.

— Nie żyje!—zawołał Telembski—kto ją zamordował?

— Ci, co krwią zalali nieszczęśliwą Polskę, a miasta i wioski w perzynę obrócili; ci, co ani na wiek, ani steraną starość nie zważają nigdy, co i mnie poranili — rzekł Ordon, wskazując świeżo okaliczałą nogę.

— Szwedy przeklęte!—po chwili porwał Telembski małą Jadwisię z kolebki i zaczął całować.

Matka zerwała się od komina:

— Przestraszysz mój Stasiu nagle dziewczynę ze snu—ale spostrzegłszy się, z gorzkiem uśmiechem dodała — już się nie obudzi, usnęła na zawsze! — zakryła oczy rękoma i rzewliwie płakała.

Telembski złożył napowrót dziecię w kolebkę.

— Gdzież moja Zosia?

— Niemasz jej.

— Porwali ją!—zawołał z wściekłością, oczy mu się zaiskrzyły i żylastą dłonią ścisnął rękojeść szabli.

— Dzięki Matce Boskiej, że nie była z nami, jak szwedzi wpadli, przed dwoma dniami odjechała do pani wojewodziny i tam jest zapewnie bezpieczna.

Telembski odetchnął swobodnie, zrzucił burkę, kord odpasał i zasmucony usiadł przy starym Ordonie.

XX.

Po zwycięzkiej dla Karola XII bitwie pod Klissowem, już nie miał żadnej nadziei August oparcia się szczęśliwemu bohaterowi tego wieku; party ciągle, uchodził do Saksonii, a za nim w ślady postępował król szwedzki i stanął obozem pod miasteczkiem Altranstadt, pięć tylko mil od Lipska. Telembski właśnie przywołany spieszył do Drezna, gdy August zmuszony przyjąć warunki podane od Karola XII, już je podpisał. Między temi był najważniejszy: ażeby Jan Rejnold Patkul, który jako poseł Piotra W-go, znajdował się na dworze saskim, został wydany. Wahał się August, nie wiedział co robić, lubo już poprzednio dopuścił się gwałtu na jego osobie, gdy kazał go uwięzić i zaprowadzić do fortecy w Königsztein. Piotr W. groźno upominał o złamanie prawa narodów, równie groźno dopominał się o wydanie Patkula Karol XII. August po uwięzieniu go ogłasza, że jako poseł szkodliwie dla sprawy jego działał, obiecuje zaś Karolowi bliskie wydanie. Piotr W. zagraża, że mścić się będzie na wszystkich polakach, którzy są w jego ręku i przez księcia Golicyna, nadzwyczajnego ambasadora, żąda zwrotu ważnych papierów, które, jako przy pośle rossyjskim, zawierały tajemnice dyplomatyczne, a po uwięzieniu Patkula wziętemi zostały. — Pani Einsiedel, zna-

komita saksonka urodą i bagactwy, z którą był zaręczony Patkul, na kolanach błaga Augusta, aby uszanował prawa narodów, król się w niepewności waha i namyśla. Nad wieczorem kazał przywołać Telembskiego.

— Weźmiesz z sobą dwudziestu z przybocznej mojej gwardyi, bezzwłocznie pośpieszysz do Königszteinu i tam uwięzionego Patkula wydasz królowi szwedzkiemu.

— Jakto! najjaśn. panie, posła obcego mocarstwa?

August rozgniewany, powtórzył:

— Tak, Patkula, posła obcego mocarstwa; idź, dopełnij, co ci rozkazałem i doniesiesz mi zaraz!

Telembski odszedł spełnić dany rozkaz.

— Spodziewam się — rzekł sam do siebie August — że go już nie znajdzie, tak ochronię i własną sławę i dopełnię warunków traktatu tej żelaznej głowy.

Oficer od służby wszedł i oddał ekspedycyę urzędową.

— Skąd to? — zapytał August.

— Z Altransztadt, z obozu króla szwedzkiego.

— Więc znów Karol—rzekł August, gdy sam został — jeszcze czegoś pragnie, ciekawym.

Roztworzył papier.

— O mało, że nie chce, ażebym został marszałkiem dworu Leszczyńskiego, którego zrobił królem; pragnie listu, żebym ja napisał z powinszowaniem wstąpienia na tron najjaśniejszemu Stanisławowi I... co nie dawno został najjaśniejszym z pana wojewody!..

Telembski przybył do fortecy, okazał gubernatorowi rozkaz Augusta i na czele oddziału wszedł do więzienia Patkula.

Więzień szlachetnej postaci zapytał uprzejmie po co przychodzą.

— Z wyraźnego rozkazu króla Augusta odprowadzić was muszę do obozu Karola XII — odpowiedział Telembski.

Na te słowa wzdrygnął się Patkul.

— Jakto! mnie Karolowi kazał wydać August? — zakrył twarz rękoma, widać było boleść i cierpienie; po chwili westchnął głęboko — jestem gotów, prowadźcie mnie na śmierć pewną.

Telembski oddał straży szwedzkiej więźnia, sam pospieszył donieść Augustowi o dopełnionym rozkazie.

— Zastałeś Patkula? — zapytał król wchodzącego.

— Tak jest, najjaśn. panie, wydany został Szwedom.

August kilka kroków w tył się cofnął i rzekł z zadziwieniem:

— Był jeszcze?

— Był, najjaśn. panie i już teraz pewnie nie ucieknie, bo w ciężkie okuty kajdany.

Król nic więcej nie wyrzekł, dał mu znak ręką, ażeby odszedł.

— Nieszczęśliwe przeznaczenie! — zawołał z boleścią — cóż powiedzą o Auguście?

Istotny plan albowiem króla był ten, iż wydał tajemny rozkaz rządzcy zamku Königsztein, ażeby Patkulowi ułatwił ucieczkę i zaraz wysłał Telembskiego do wydania go Szwedom, w nadziei, że już ratował się z zamku. Tymczasem rządzca, wiedząc o bogactwach Patkula, chciał korzystać,

żądał nagrody, której mu ten, opierając się na szanowaniu prawa narodów, odmówił, w pewności, że i darmo wolność otrzymać musi. Ale srogie przeznaczenie ścigało nieszczęśliwego Patkula, czas drogi stracono i wydany został w tygrysie ręce. Karol XII kazał go do wysokiego słupa przykuć ogromnemi łańcuchami, a później przy szmigownicy prowadzić pod silną strażą do Polski, gdzie miał ponieść śmierć męczeńską.

August rozkazał nie długo przywołać Telembskiego, a oddając mu depesze, wyrzekł:

— Jest to ostatnia usługa, jakiej żądam od ciebie, tak, ostatnia! przestałem już być królem polskim, jestem tylko elektorem saskim. Uwalniam was od usług dalszych, które z taką wiernością i poświęceniem dopełnialiście zawsze.

— Jakto, najjaśn. panie! — zawołał z rozrzewnieniem młodzieniec — czyż i oręża w obronie mojego króla dobyć nie mogę?

— Napróżno! dzielny i odważny mój obrońco, wreszcie któż zechce wspierać prześladowanego Augusta?

— Dla serc poczciwych — odrzekł z zapałem Telembski — wiara stateczna jest powinnością a przysięga obowiązkiem. Najjaśn. panie! jakkolwiek słyszałem z ust waszej królewskiej mości mój wyrok, sądzę, iż to nie nakazuje, ażebym krew moją i wiernych tobie nie poświęcał w obronie praw naszego króla. Spieszę, spieszę dopełnić poleceń w. k. mości, ale znajdę przecię pole, gdzie w imieniu Augusta dobędę korda.

Król z rozrzewnieniem spojrzał na mężnego młodziana i gdy ten przyklęknął, całując rękę monarchy, August włożył mu na szyję złoty łańcuch z wizerunkiem swoim.

— Niech ci to przypomina zawsze króla, który jakkolwiek nieszczęśliwy, czuje się dumny, że nad takim panował narodem, który wiary przysiężonej monarsze, co szanował jego prawa, nie złamał. Bądź zdrów! — rzekł August w końcu — niezapominaj tego, który was kocha.

Telembski ze łzami opuścił komnatę królewską i spieszył dopełnić poleceń danych sobie, ale nie zastał już w Altransztadzie Karola, który marsz obrócił nazad w granice Polski.

XXI.

W sypialnej komnacie na łożu spoczywała wojewodzina Działyńska, gdzie z boleści ciężkiej w nodze rany nie mogła się podnieść, przy niej z zapłakanemi oczyma siedziała Zofia Ordonówna i czytała list od rodziców świeżo odebrany.

— Więc on był tam? dzięki niech będą Bogu, że zdrowo wyszedł z tej nieszczęśliwej walki! gdzież się teraz obraca? — zapytała z wetchnieniem wojewodzina.

— Wyjechał do Drezna—odpowiedziała Zosia z rumieńcem.

— Nieprędko go zapewne zobaczymy, moja Zosiu, a ty tęsknisz za nim, twoje myśli przykułaś do Stasia; nie dziwię się wcale, moje kochanie, znam co to miłość, jakie jej rozkosze i cierpienia. Ale obetrzyj oczęta z łez rzewliwych, niech przecież Stasio zobaczy ciebie wesołą, naucz się wcześnie znosić troski chwilowe mężnie; ileż ja ich sama przenieść musiałam! O jakże rana dolega, moja Zosiu, podłóż poduszkę, to mi lżej będzie.

W tej chwili wszedł pan podstarości Dębołęcki, wystrojony, jak w owym dniu uczty, kiedy siedział na ręku Borowego.

— Cóż nowego przynosicie? — zapytała wojewodzina.

— Jaśnie wielmożna pani! nienajlepsze nowiny: król August pobity pod Klissowem zupełnie, Szwedzi zajęli Kraków, Stanisław Leszczyński już ukoronowany, a szwedy coraz częściej wokoło się zgromadzają i coraz głębiej w nasze zaglądają lasy. Polityka — mówił dalej, wracając do zwyczajnego swego sposobu mówienia—na inny punkt się zwróciła, a sentymenta...

— Jakże się obchodzą szwedy z naszymi? — przerywając, zapytała wojewodzina.

— Jak tatar z niewolnikami w jassyrze, jaśnie wielmożna pani; wczorajszej nocy wpadli do wsi Podlaski, co to niedaleko Myszeńca, zapalili na cztery strony, dziewczęta i niewiasty do obozu poprowadzili, a wszystkich wywieszali Kurpiów.

— Na rany Chrystusowe! — zawołała Działyńska—pomszczę się okropnie takiej zbrodni, na którąby się sam szatan nie odważył. I jakżeż, nikogo nie było, coby się oparł?

— Bo w nocy napadli śpiących, a potem dyabłów czerwonych było dziesięć razy więcej, ze dworu jaśnie wialmożnej pani widać było łunę, jak się paliło, uderzono na gwałt, ale wszystko zapóźno.

— Boże wszechmocny! dodaj mi siły, zagój moje rany prędzej, abym się pomścić mogła za gwałty i mordy! Zawołaj Borowego, niech staną jak najprędzej w pogotowiu hajduki i chorągwie nadworne niech dosiędą koni!

Pan podstarości z ukłonem odszedł.

— Czuję, czuję, moja Zosiu — rzekła wolniej, chłonąc z zapału wojewodzina — większą boleść, że powstać z łoża nie mogę, niż z samej rany. O! czemu niema twego Stasia albo Grudczyńskiego, wyręczyliby mnie teraz zapewne.

Pan podstarości wrócił, albowiem spotkał w sieni Borowego; wszedł za nim Kurp przywołany, włosy w nieładzie, pot kroplisty na twarzy i krew świeża, którą cały był zbryzgany, świadczyły, że tylko co z walki powraca.

— Skąd przybywacie?—zapytała wojewodzina.

— Od Myszeńca — odpowiedział — gdzie z nasypką oddaliśmy za swoje czerwonym dyabłom, ani noga z miasta nie uszła, jak prosięta wykłuliśmy, o! zdaleka kwik dosłyszano!

— Jakże szczęśliwie ich napadliście?—spytała Działyńska.

— Zdrada za zdradę, jaśnie wielmożna pani! Czerwone dyabły w nocy naszych zeszli i my w nocy. Jak uderzono na gwałt we dzwony, jeszcze piłem sobie z kumem w karczmie, gdy dano znać, że Podlaski się palą, dziewki szwedy uprowadzają i niewiasty młodsze, a otroków wywieszali; ale ich bronić trudno było. Zebrałem naszych i cicho jakby makiem zasiał wpadliśmy do miasta; już każdy wiedział, gdzie zwierzyna, zaczęliśmy polowanie. Ja blizko kościoła wpadłem do domu, gdzie starsi mieszkali, było ich pięciu przy stole, wesoło pili, za śpiewałem im weselej; niedługo była pełna miska mózgu z ich łbów miękkich, a więcej krwi, niżeli flasz wina, co zrabowali. Jeden mi się młody pięknie prosił, klęczał, płakał; zlitowałem się, nie udeRzyłem siekierą, zdusiłem jak czeczotkę. O! i reszta nie próżnowała, każdy miał robotę, broń zabraliśmy i koni niemało, wszystko to przybędzie do dwora jaśnie wielmożnej pani.

— A dowódzca z Myszeńca?— zapytała Borowego Działyńska.

Kurp głośno się roześmiał, otworzył szeroko usta i ukazał zęby białe jak kły dzika.

— O, o! jaśnie wielmożna pani, modlił się, wypraszał, jak mu śmierć zajrzała w oczy; ale że z jego rozkazu Podlaski spalili i dziewki porwano, poderznął mu Kwiczoł gardło, zachrapał troszkę jak wieprz przed wielkanocą i skończył.

I znów Borowy roześmiał się głośno.

Zosia odwróciła oczy od niego, zgrozą mając przejęte serce młode i niewinne. Obraz tylu mordów wzajemnych głębokie zrobił wrażenie i w duchu cieszyła się, że jej Staś, dalekim będąc, nie należał do tak krwawej wyprawy nocnej.

— Spocznijcie sobie po trudach, mój leśniczy, pan podstarości każe wam dać wódki i jadła.

Kurp skłonił się nizko i odszedł za podstarościm, zasiadł przy wielkim stole w czeladnej izbie i nie zważając na ręce we krwi zbroczone, rwał po kawale kiełbasy i popijał wódką.

— Ale czuję robotę dzisiejszą, kości więcej bolą jak po żniwie! — rzekł po chwili, łykając mięsiwo. — O, panie! i sam Twardowski napociłby się krwawym potem!

I zaczął pot z czoła ocierać, poprawiając długie włosy.

— O, nasze kołtuny! — zawołał ze śmiechem radosnym—lepiej się dziś uraczyły mózgiem ze łbów zamorskich, aniżeli olejkami węgierskiemi.

W istocie niemało go miał na sukmanie, więcej na długich włosach nalepionego, zaczął go ręką rozcierać na głowie, jakby strojniś pachnidło.

Zosia jeszcze do siebie przyjść nie mogła, dojrzała to wojewodzina.

— Jakże ci się podobał nasz bohater?—zapytała.

— Okropny! widziałam szatana nie człowieka, ileż on krwi wylał i śmieje się z tego; o! cieszę się, cieszę, że nie było tam.

Nie mogła domówić „Stasia“ i z westchnieniem i upieczonym rakiem spuściła oczy na dół.

— Że twego Stasia nie było, chciałaś powiedzieć?—rzekła Działyńska—o! w straszniejszych on był walkach i na wszystko musiał patrzeć, a w bitwie nie znajdziesz ludzi, tam się mordują jak dzikie zwierzęta; serce powoli nawyka do tych widoków i niezadługo drętwieje w niem drażliwość, jaką teraz czujesz. Samam tego doznała na sobie, jednakże przytem można być czułą, kochać, i kochać z zapałem, namiętnie...

Po tych słowach umilkła wojewodzina, żywy rumieniec okrył jej blade lica, westchnęła tylko boleśnie.

Wszedł pan podstarości i doniósł, że hajducy stanęli już pod bronią, cztery nadworne chorągwie siedzą na koniach, a sentymenta ich — wyrzekł z ukłonem, — czekają dla siebie wskazania punktu od jaśnie wielmożnej pani.

— Sto hajduków i dwie chorągwie niech zajmą Myszeniec, okopią go wokoło jak można najrychlej, reszta ma czekać w pogotowiu dalszych rozkazów. Broń zdobytą rozdać pomiędzy Kurpiów, a konie niech sobie wymieniają w chorągwiach nadwornych ci, co mają odpsute, chore lub zabite własne konie w ostatniej bitwie.

Pan podstarości z uroczystą miną i poważnym krokiem zasiadłszy w wielkiem krześle jadalnej komnaty i oznajmiwszy rozkazy wojewodziny, nalał spory puhar węgrzyna i co szczególna, przywołał leśnika Borowego, ażeby mu opowiedział całą wyprawę i skutek, gdyż chce—jak mówił Kurpiowi—przewidzieć dalszą politykę, jaki punkt sobie obierze.

XXII.

Karol XII z pod Altransztadu ruszył śpiesznie do Polski, wymógłszy na nieszczęśliwym Auguście nietylko zrzeczenie się korony polskiej, wydanie Patkula, którego prowadził na śmierć męczeńską, chcąc nasycić bezprzykładną zemstę, ale nadto napisanie listu do Stanisława Leszczyńskiego z powinszowaniem wstąpienia na tron. Właśnie śpieszył Telembski za nim z depeszami, które zawierały i zrzeczenie się pomienione i list wymuszony. Nie doścignął Karola aż w Kazimierzu, gdzie się zatrzymał, aby sąd złożyć i ukarać Patkula.

W niewielkim dworze murowanym zajął mieszkanie Karol XII, w rogu domu była mała sypialnia, tę przeznaczyć kazał na chwilowe więzienie dla ofiary swojej zemsty, a lękając się, ażeby mu Patkul nie uszedł, łańcuch od obroży żelaznej, którą miał na szyi, przeciągniony przez otwór wykowany w murze sam pilnował, i dostrzegał jak zbir prosty, niewypuszczając go z ręki przez noc całą.

Nieszczęśliwy Patkul, okuty w ciężkie kajdany, leżał na ziemi pod ścianą, gdzie go przytrzymywała obroża i łańcuch, którego koniec w bocznej komnacie królewskiej zostawał, wiedział już o złożonym wojennym sądzie i oczekiwał wyroku.

— O moja Elizo droga! — rzekł z boleścią —

może się już więcej nie zobaczym, twój narzeczony obarczony więzami, napróżno wzywa litości u swoich katów, godzina ostatnia nie długo uderzy, która nas rozdzieli na zawsze.

Ta myśl wycisnęła mu łzy gorzkie, gdy usłyszał, że ktoś wszedł do jego więzienia, był to kapłan.

Pomimowolny dreszcz go przeniknął.

— Jakiż wyrok? co mi przynosisz, mój ojcze?—zapytał drżącym głosem.

— Mój synu! bądź mężnym, ufaj Bogu.

— Rozumiem — odrzekł Patkul z gorzkim uśmiechem — każesz mi być mężnym, jest to samo jakbyś wyrzekł, gotuj się na śmierć! i wlepił wzrok badawczy w sędziwe lica kapłana.

— Tak jest, bądź mężnym, gotuj się na śmierć, bo nie długo ostatnia uderzy dla ciebie godzina.

Patkul zadrżał, zdawało się, że niespodziewany wcale wyrok dla siebie usłyszał, zbladł po chwili i zaczął rzewliwie, jakby dziecię rozkwilone, płakać.

Kapłan z czułością patrzył na nięszczęśliwego, podzielał łzy jego, nie śmiał wszakże wyjawić okrutnego rodzaju śmierci.

— Mój synu!—rzekł poważnym i uroczystym głosem — przyszedłem tu, ażebym przygotował cię na śmierć.

— Jakiż wyrok sąd wojenny wydał?—zapytał go Patkul.

— Wyrok śmierci.

— A król Karol?

— Potwierdził go w zupełności i rozkazał dziś jeszcze dopełnić.

— Dzisiaj jeszcze!—zawołał z rozpaczą Patkul, bo sam ten wyraz dziś zabił wszystkie do razu marzone nadzieje i zdawało się, że miał brzmienie tak okropne, jakby jęk śmiertelny konającej matki.—Nie znajdęż litości i przebaczenia?—krzyknął po chwili.

— Napróżno, mój synu, napróżno! litości, przebaczenia tam szukaj—rzekł kapłan, wznosząc rękę w górę i oczy do niebios. — Tam jest nasz ojciec, ojciec wspólny, co zbłąkane dzieci przytula z dobrocią do łona, co nie używa rózgi, kary, którą grozi zapamiętałym i idącym fałszywą drogą; w nim połóż ufność, bo niedługo staniesz przed jego świętem obliczem. Złóż ciężar trosk, cierpień i grzechów na łono moje — bo zaprawdę powiadam wam (mówi Chrystus), co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie. Stań zatem oczyszczony więcej przed tronem Stwórcy naszego, opuszczając ten padół płaczu i nieprawości.

— Jakże prędko uderzy ostatnia godzina dla mnie?

— Natychmiast, skoro cię przygotuję do niej i opuszczę to miejsce.

— Król Karol odrzucił zatem sumy na wykup mój ofiarowane?

— Tak jest, mój synu! Nietylko nie przyjął 100,000 talarów, które sam podawałeś, ale nie chciał słyszeć nawet o większej daleko, bo 300,000 talarów, od twojej narzeczonej.

— O moja Elizo!—zawołał, umilkł zaraz, płacząc rzewliwie.

Dobył jej wizerunku, który na piersiach nosił, wpatrywał się długo, zdjął go potem z siebie, a całując z uczuciem, rzekł cichym i osłabionym głosem:

— Mój ojcze! oddaj go mojej Elizie, powiedz

jej, że ją zawsze kocham, a stojąc nawet tak blizko grobu, ostatnie moje westchnienia Bogu, ojczyznie i jej poświęcę.

Łzy i rozrzewnienie przyniosły mu niejaką ulgę, ukląkł i zaczął się spowiadać. Gdy nachylony klęcząc odbierał rozgrzeszenie kapłańskie, gdy z nim wspólnie modły wznosił, uczuwał spokojność, nabierał męstwa i pociechy, jakich każdemu w ostatniej godzinie, gdy go wszyscy opuszczają, jedna religia udziela. Bo to jest chwila, w której opuszczając ziemię i ziemskie rozkosze, wszystko co miłe i ukochane, nie tracim religijnej nadziei, a ta osładza ostatni skon człowieka.

Kapłan skończył modły, ale zatrzymał się jeszcze na prośby Patkula.

— Mój ojcze! przygotowałeś mnie na śmierć, ale jeszcze pomimo nalegań nie chciałeś jej rodzaju wyjawić.

— Synu! — rzekł kapłan, przytulając go do serca, gotuj się na śmierć, ale śmierć okropną!

Patkul odskoczył jak piorunem rażony, drżał jak liść od wiatru, wzrok jego zdziczał, usta zsiniały.

— Jaka śmierć? śmierć okropna! — wyjęknął

— Okropna, sroga! wyrok zapadł, król potwierdził, będziesz żywcem kołem łamany i ćwiertowany.

Patkul bez przytomności upadł na ziemię.

Kapłan krótką odmówił nad nim modlitwę i wyszedł bez zwłoki uwiadomić straż, ażeby ocuciła nieszczęśliwą ofiarę, aby przy zdrowych zmysłach wyrok usłyszała i karę odniosła.

Telembski zaledwo stanął w Kazimierzu wprowadzony został do komnaty Karola XII, któremu do rąk własnych powierzone depesze oddał. Król przebiegł je prędko oczyma, wyjął z uśmiechem ironicznym list, który zmuszony August do Stanisława Leszczyńskiego z powinszowaniem wstąpienia mu na tron napisał i zwracając mowę do jednego z oficerów:

— Zawieziesz niezwłocznie list ten najjaśniejszemu Stanisławowi I, bratu naszemu, elektor saski (rzekł z przyciskiem) składa mu w nim swoje życzenia. Co do was (mówił Telembskiemu), mamy nadzieję, że zechcecie być na widowisku, które przedstawi jeden zdrajca, zginie! — zawołał z gniewem, jak wszyscy mu podobni; chciał się wykupić, dużo ofiarował, ale Karol dosyć złota w Saksonii znalazł. Po ekzekucyi i dopełnionym wyroku na Patkulu stawicie się przed nami.

Telembski w milczeniu skłonił się i wyszedł z komnaty królewskiej.

XXIII.

Na kwiecistej łące zbierał się tłum ludu z okolic; był to dzień ciekawy dla niego, bo miano tracić człowieka.

Każdy biegł chciwie ujrzeć męczarnie jednej nieszczęśliwej istoty, na którą padł wyrok srogi. Tłum cały nie dopytywał czy winny, lub niezasłużenie ginie, patrzył tylko z zajęciem na kata, który stał z ogromnem kołem w ręku do łamania kości pomiędzy palami, na których ciepłe jeszcze członki przewieszone być miały, i pytał kiedy on wyjdzie, jak prędko się zacznie?

Oddział piechoty otoczył miejsce egzekucyi, niedługo ujrzano postępującego naprzód oficera szwedzkiego, za nim straż, kapłana i nieszczęśliwego Patkula, okutego w ciężkie kajdany.

Bladość wyryta na jego twarzy, wzrok obłąkany, poruszał do litości. On to był tą nieszczęśliwą skazaną ofiarą, dla której cierpień tylo okropnych przygotowań było. Gdy wyprowadzono go z więzienia, szedł zwolna osłabiony, podniósł oczy i spojrzał wokoło. Tłum ludu ciekawego widowiska i straż zgromadzona niezadziwiła go wcale; ale gdy ujrzał kata z kołem w ręku i przygotowane pale, zalał się gorzkiemi łzami i rzucił się na łono swego spowiednika, który go okrył habitem.

— Mój synu! — rzekł kapłan — miej męstwo, ufaj Bogu, tam każdą łzę twoją na szali sprawiedliwości zważą; jeżeli tu na tym padole płaczu doznałeś nieszczęścia, Bóg to nadgrodzi w światłości wiekuistej.

Oficer wystąpił naprzód do czytania wyroku. Oprawcy poskoczyli do Patkula, zdjęli mu okowy; ujrzał się wtedy wolnym, gdy męczarnia czekała go wkrótce. Była to chwila ulżenia, ażeby słowa srogiego wyroku mógł lepiej pojąć, dokładnie zrozumieć.

Oficer rozwinął papier i zaczął czytać:

— Z rozkazu najpotężniejszego i najłaskawszego króla szwedzkiego Karola XII...

— Najłaskawszego! — zawołał Patkul—spodziewałem się po łasce Karola, że inny rodzaj śmierci mi naznaczy, że nie zechce się pastwić.

— Jan Rejnold Patkul (czytał dalej) ma być kołem łamany i ćwiertowany jako zdrajca ojczyzny...

— Niestety! — wykrzyknął — jam jej zawsze wiernie służył.

— Niech to będzie nauką i przestrogą, ażeby każdy wiernie swemu królowi i ojczyźnie służył.

Oficer skończył czytanie wyroku... przykrępowali oprawcy do drewnianego krzyża Patkula, a kat z wyniesionem kołem wypatrywał miejsce gdzie ma łamać kości nieszczęśliwej ofierze, ażeby odebrała dziesięć przy życiu uderzeń, nim jedenaste zada śmiertelne.

Po strasznych uderzeniach kołem, cios w piersi zadany zakończył okropną męczarnię, — jęk był cichy, bo strumień krwi gębą i nosem wypłyniony, przytłumił go w wydaniu. Oczy wysadzone z bólu zaszły bielmem, na czole tylko i twarzy

każdą żyłę porachować można, gdyż była krwią nabiegła i wyprężona w katowni.

— Nie żyje! — zawołali niektórzy — nie żyje! powtórzył Telembski, który każde uderzenie kołem w sercu i mózgu uczuwał.

Kat po zamordowaniu według wyroku Patkula, dał znak, oprawcy przynieśli pień szeroki, na nim ciepłe jeszcze ciało i drgające członki wielkim toporem rozcinał, i ostrza rozstawionych palów wokoło nadziewał.

Powoli tłum zaczął się rozrzedzać, straże odstąpiły, pozostały tylko pale, a nich rozerwane ciało Patkula.

Długo dla przykładu wisiało jeszcze, — zakosztował je nieraz kruk przelotny, albo orzeł chciwy świeżego mięsa i gdy ostre szpony w nie zapuścił, gdy ostrym dzióbem darł w kawałki, zdawało się jakby się odzywał:

— I ludzie sami żywią mnie ofiarami swego okrucieństwa!

Łąka ta przez lud zwana dotąd łąką Patkula i przysłowie: Nieszczęśliwy jak Patkul! przypominają nieszczęścia i męczarnie tej ofiary, sprawiedliwie przez Voltera nazwanej męczennikiem wolności. Niemi to splamił bohaterską swoją sławę Karol XII, gdy z zimną krwią i obojętnością wylał okropny wyrok i patrzał na jego dopełnienie.

Oficer wraz z Telembskim stanął przed królem szwedzkim.

— Najjaśniejszy Panie! wyrok spełniony, Patkul nie żyje.

— Czy widziałeś? — zapytał Telembskiego.

— Tak jest, widziałem najjaśn. panie, widziałem i czułem! — dodał z przyciskiem.

— Delikatne masz czucie, — rzekł Karol — i ja widziałem, ale nie czułem, — patrzałem jak skończył...—Taką karę,—zawołał z gniewem,—każdemu zdrajcy Karol XII wymierzy!

Telembski odwrócił się zgrozą przejęty.

— Możesz udać się do króla Augusta, powiedz mu, że najważniejszy warunek traktatu w oczach twoich dopełniony; może być spokojny, — rzekł dalej z uśmiechem, — niech się pożegna z koroną polską, już nią innego ozdobiliśmy, może siedzieć w Dreznie. Karol na północy rozpocznie Teraz Piotr buduje dla mnie Petersburg, powiedz swemu królowi o tem.

Telembski skłonił się obojętnie i wyszedł.

— O! niech przeklęte będzie imię i sława twoja (pomyślał), kiedy dla niej tyle krwi i morderstwa potrzeba!

Siadł na konia i ruszył szybko z miejsca, ale droga przechodziła łąką Patkula — ujrzał tam znowu dymiące trzewia i członki pozawieszane na palach, przy nich stał na straży żołnierz, by niewykradziono tego piętna sromotnej zemsty Karola, by dłużej świadczyło o jego okrucieństwie.

Dodał ostrogi, żeby prędzej opuścić te miejsca obudzające tyle zgrozy i boleści w sercu człowieka, wyminął je, spoczął dopiero i dał wytchnąć koniowi w dalekim lesie; ale rozogniona wyobraźnia przedstawiała mu, że na każdym wierzchołku drzewa widzi członki nieszczęśliwego Patkula, że krew jego zarumieniła kałuże, które przebywał. Chciał zmordowany zasnąć, budziło go widmo — jak na krzyżu rozpięty, jak pod ciosem dębowego koła chrzęszczy kość roztrzaskana... Chciał otrzeć

pot z czoła, zdawało mu się, że to krew strumieniami spływa. Jakby kamień grobowy boleść ścisnęła mu serce, oddechu nie miał wolnego. Wsiadł na konia i leciał co mógł wyskoczyć, ale wszędzie wokoło ścigał go krwawy cień Patkula.

XXIV.

— Do stu szatanów! dawaj żydzie więcej wódki! cóż to dla hajduka półkwaterek stawiasz? Dawaj tu kwartę!—wołał podpity Jan Snigurek, hajduk z chorągwi wojewodziny Działyńskiej.

— Szczob' na tebe diw pryszow, horyłki! — krzyczał Kiryłło kozak.

Żyd postawił gąsior szumówki na stole, Snigórek nalawszy szklankę sporą, wzniósł w górę i rzekł do towarzyszów swoich:

— Zdrowie nasze! a śmierć dyabłom czerwonym!

Wtem roztworzyły się nagle drzwi izby, ukazał się naprzód pijany kurp Kwiczoł. Chciał próg przestąpić, ale niemogąc, nakiwawszy się dosyć, przeskoczył i raptem dygnął, bo nogi nie słuchały chęci jego. Skoro tylko w izbie stanął, widząc tyle zgromadzonych hajduków i szlachty zbrojnej, zdjął z uszanowaniem kapelusz, skłonił się nisko, potoczył na ławę i usiadł z mocą. Wszedł za nim Borowy, którego kark czerwony i zarumienione szerokie policzki świadczyły, że niemało jadł i popijał.

— To nasz Borowy! to nasz gajowy!—krzyknęli hajducy — sam to kumie? zdrowie wasze. I wnet gąsior wypróżnili.

Borowy nie wiele się wymawiał i lubo już

podchmielony, przetrzymał wszystkich i śmiał się z Kwiczoła, co na ławie z początku przewracał oczyma, a niedługo pod ławą smacznie zasypiał.

Coraz trunek zagrzewał głowy, gwar się powiększał i zamieniał często w donośne krzyki; każdy chciał rozprawiać, a chcąc być słyszanym, zagłuszał innych. Snigurek dotrzymywał pola i chociaż ochrypł od wytężenia głosu, opowiadał bójkę i wyrznięcie w Myszeńcu szwedów.

Borowy z kapeluszem na bakier, poświzdywał wesoło, gdy Kiryłło podchmielony zaczął przy bandurce śpiewać dumkę ruską.

Borowy pomagał mu często, wkrótce sam się podniósł, wychylił szklankę wódki i grzmiącym głosem zaśpiewał ulubioną po gospodach piosnkę:

Ożeniłem się na Mazowszu,
Wziołem w posagu tsy ćwierci owsu,
Tsy ćwierci owsu, dwie becki siecki,
Tseba się ciesyc z takiej dzieweckl,
Ani poduski, ani piezyny,
Choćma kochanie na grochowiny.

Na donośny śpiew Borowego, który poruszył nie jedną szybę w oknach, zbudził się i Kwiczoł, chrapiący dotąd pod ławą, a usłyszawszy piosnkę ulubioną, zaczął kiwaniem głowy i mruczeniem dopomagać. Borowy zakończył śpiew podniesiem w górę szklanki wódki, którą jak ślimaka do razu połknął.

— Tak, wykrzyknął podchmielony:—bij na kwaśne jabłko, gdy się szwed nawinie, śmierć dyabłom czerwonym!

— Niech giną!—zawołał Snigurek.

— Wiaży, koły, riży wraha! — krzyknęli kozacy.

— Niech giną!—powtórzyli wszyscy.

— Niech giną!—rzekł na ostatku Kwiczoł pod ławą.

Jonek Łopucha zaczął się śmiać do rozpuku jak zwykle u pijanych się zdarza, a potoczywszy się do Borowego:

— Uściskajmy się kumotrze!—zawołał—no daj pyska, i oburącz ścisnął go za szyję. Ja cię tak kocham, tak kocham! aż kocham. Borowy na przyjacielski uścisk chciał się wzajemnością wypłacić, wstał z ławy, wyciągnął ręce, ale Łopucha, co miał się rzucić w objęcia, stracił równowagę, pominął ręce do uścisku gotowe i czołem uderzył o róg stołu.

— Trzymaj się! nie daj się!—krzyknął Kwiczoł z pod ławy.

Borowy podniósł Łopuchę z rozciętą skronią.

— Wody! wody!—zawołał Snigurek.

— Lepiej żydzie dawaj wódki, to się rana prędzej zgoi—rzekł Borowy.

Arendarz podał Łopuchowi kieliszek wódki, ale ten zamiast namaszczania czoła krwią zalanego, wypił.

— Cha! cha! cha! roześmiał się Snigurek a z nim inni hajducy i kozacy.

Łopucha, który z powodu uderzenia otrzeźwiał trochę, uraził się ich śmiechem i zawołał rozgniewany:

— I czegoż się śmiejesz? czyś dyabła weselnego połknął i szklankę wody się napił?

— Cicho! skórko na bóty!—odpowiedział Snigurek z uniesieniem—bo ci statarujem skórę rozumies?

— A ty pogański synu!—wrzasnął zapieniony od gniewu Łopucha i rzucił na niego kieliszkiem.

— Co? to ty rozboje zaczynasz na publicznej drodze, to okazyi szukasz?—rzekł podsuwając się hajduk.

— Ej! zdaleka!—krzyknął Kurp w groźnej stojąc postaci—bo cię palnę!

— To ty jeszcze chcesz mnie palnąć, ty święto-krzyski rozbójniku! doznasz co pięść hajduka, tylko mi jeszcze ujadaj.

Towarzysze Snigurki, Kiryłło i kozacy, ujmując się za nim, podnieśli się z za stołu. Kwiczoł wydobył się szczęśliwie z pod ławy i stanął na środku izby, chcąc pomagać kumowi w czasie spodziewanej bójki. Borowy jeden siedział nieporuszony, ale na twarzy widocznie gniew się malował.

— Co to ja, czy pies, żebym ujadał? — dotknięty tym wyrazem zawołał Łopucha.

— A co? czy on pies, czy co? — powtórzył Kwiczoł, uderzając nogą z nachyleniem głowy, jak baran, gdy do walki z drugimi się gotuje.

— Pies!—krzyknął Snigurek.

— Tak pies! pies!—zawołali za nim hajducy i kozacy.

Na taką wzgardę porwał Łopucha gąsior ze stołu i rzucił na nich, który o pierwsze czoło Snigurki rozbił się w kawałki, a hajduk upadł krwią zlany.

Towarzysze jego jedni go podnosili i ocucali gdy drudzy na czele Kiryłły już się gotowaii do bójki. Wtem podniósł się z ławy Borowy i krzyknął drżąc od gniewu:

— Na rany Chrystusowe! jeżeli mi się który ruszy, to mu kości połamię i wytrzęsę z kiszek choćby od tygodnia kaszę.

Hajducy spojrzeli po sobie, ale żaden nie śmiał się posunąć naprzód. Znali olbrzymią Borowego siłę i że umie obietnicy dotrzymać.

— Czort tebe zabery! — pomruknął Kiryłło i cofnął się za drugich.

— Weźcie go!—rzekł Kurp do nich rozkazującym tonem:—zanieście doma, niech go wódką wysmarują, to i zdrów będzie.

Kilku wyniosło zranionego Snigurkę, reszta w milczeniu zasiadła ławy i na zgodę kazali nowy gąsior wódki postawić. Tą razą Łopucha dwa tylko wypiwszy kieliszki, trzecim natrzepał ranę, do czego mu pomógł Kwiczoł, co pijąc w jego ręce, zachłysnął się mocno i trysnął mu z ust całym półkwaterkiem wódki na głowę.

— Ktoś się śpieszy —rzekł po chwili.

Wtem kilka bliskich usłyszano wystrzałów.

— To dyabły czarwone! — zawołał Borowy i wybiegł z karczmy.

XXV.

Czas wrócić do domku starego Przezdzieckiego i zobaczyć powód nagłego zamieszania wszystkich.

Ciężko ranny, złożony na łożu przez Borowego, był to młody Władysław Grudczyński, syn sławnego w dziejach obecnych Jana Grudczyńskiego, przeciwnika Augusta a stronnika Stanisława Leszczyńskiego.

Władysław chował się razem z wojewodziną Działyńską, od dzieciństwa ją ukochał, a to przywiązanie wzmacniało się coraz doznanemi przeszkody. Zdawało się, że ją zapomniał, że serca nie jątrzy gwałtowna namiętność, gdy oddała rękę wojewodzie Działyńskiemu, a Władysław opuścił ojczyznę i lat pięć bawił zagranicą. Ale stary Jędrzej, który go wypiastował na ręku i o wszystkiem wiedział, często powtarzał, że „prędzej się dyabeł w święconej wodzie skąpie, niż pan Władysław odkocha.“

Widział on nie raz jego łzy, rozpacz i żale, a co ujrzał w chwili, gdy ślub z wojewodą brała, utwierdziło go w mniemaniu własnem mocniej.

Tego dnia pan Władysław przez całą noc nie spał, jeżeli zadrzymał nieco, zrywał się zaraz i rzewliwie dziecięcemi łzami płakał. Gdy uderzyła godzina ślubu, pobiegł do kościoła i stanął w ciemnej uboczy między filarami. Nadszedł

przedmiot jego miłości, młoda Jadwiga, strojna bogactwy i urodą, a przy niej podsiwiały wojewoda. Władysław, którego uważał stary Jędrzej, na ten widok zadrżał, chciał się rzucić i rozdzielić ich, ale osłabiony wysileniem, upadł bez przytomności.

Po trzech latach pożycia, stary wojewoda umarł, Jadwiga była wolną. Na nowo namiętna miłość obudziła się w sercu Władysława, ale i teraz równych doznawać musiał przeszkód. Wojewodzina kochała Telembskiego, jakkolwiek niewzajemnie, gdy ten szczęście swoje w Zofii Ordonównie upatrywał.

Właśnie stronnictwa szarpały Polskę, Działyńska stanęła w obronie Augusta, a jej imię zabrzmiało w całej Polsce sławą i podziwem. Ojciec jego wspierał Stanisława Leszczyńskiego, Władysław bez wahania za Augustem się oświadczył i dzielnie orężem prawa nieszczęśliwego króla popierał, aż do chwili ostatniej bitwy, w której ciężko ranny uniesionym z pobojowiska przez Borowego został.

Bezprzytomny leżał na łożu długo, powoli odzyskując zmysły, otworzył oczy i z podziwieniem spozierał w około. Była to nie wielka komnata, w rogu jednej ściany stało łoże starego Przezdzieckiego, na którem spoczywał, przy nim stół duży dywanem zasłany, dalej kanapa, przy oknach kółko do przędzenia, a nad tem zegar ścienny. Na ścianach wisiało kilka obrazów, między temi największy Jana Sobieskiego na koniu, którego poprzedza bóstwo sławy, ogłaszając wielkie zwycięztwa króla bohatera. Władysław obojętnie na te wszystkie przedmioty spozierał, ale wzrok jego na twarzy sędziwej rotmistrza i niewinnej Anny długo się zatrzymał.

Młoda dziewica klęcząc z wlepionemi o obraz

Najświętszej Panny Maryi oczyma, zanosiła gorące modły do niebios. Na jej dorodnej twarzy widać było to zajęcie, szczerotę i niewinność anielską, które cechują wiek dziecinny jeszcze.

Władysław wpatrywał się w jej oblicze, uczuwał coraz mocniejsze bicie serca, odwrócił głowę, spojrzał na starca osłabionego wiekiem i styranego trudami, który w tej chwili ciężko oddychał, tłumiąc bolesne jęki.

— Gdzież jestem? — pomyślał, — tu słyszę ciężkie westchnienia boleści i starości, a tu lekki oddech młodej dziewicy, której dusza rozmawia z niebem. Tu wiosna jeszcze jakby róża, co zaledwie z pączka rozkwita, a tam starość osypana szronem wieku, jakby zima lub dąb spróchniały, co grozi upadkiem własnym, a ja w sile wieku, w środku tej wiosny i zimy, stoję nad grobem i kończę wszystkie marzone nadzieje.

— Jakże się tu dostałem? A... przypominam sobie, biliśmy się, w rozsypce zostałemraniony. Któż mnie uratował? Może ona?

Westchnął, ale wkrótce gorżko się uśmiechnął

— Ona! czyż kiedy pamiętała o mnie! A widziała, widziała moją miłość, przywiązanie niezachwiane, cierpienia i rozpacz! Lecz cóżby ją los mój obchodził, gdy innemu serce oddała. Kocha go! kocha, jak ja ją kocham zapamiętale! Poświęcałem się jej zupełnie, w tylu bitwach zasłoniłem nieraz od mordeczego ciosu, a jakaż za to wdzięczność? zimna, obojętna, grzeczny ukłon i wszystko.

W tej chwili z zbytecznego wzruszenia uczuł gwałtowne bicie serca i gorąco, oczy mu krwią nabiegły.

— Ciesz się, ciesz Jadwigo! — i w wściekłości zerwał obwinięcie rany, a krew trysła strumieniem.

— Ja... kończę, nie będę ci natrętnym, po mojej śmierci, poświęć choć łzę pamięci!

Zalał się rzewnemi łzami i nagle boleśnie jęknął.

Anna poskoczyła do łoża rannego wojownika, Władysław konał.

— Jadwigo! był to ostatni wyraz, z którym życie ubiegło. Młoda dziewica krzyknęła z przestrachem; na ten odgłos wpada gospodyni z mężem, cucą Grudczyńskiego, ale napróżno.

— Umarł więc! — zawołał smutnie z zwieszoną na piersiach głową stary Przezdziecki — umarł! niech spoczywa w Bogu! wyprzedził starego — i zaczął cicho odmawiać modlitwy.

Skoro Marcin dał znać Borowemu o jego śmierci,wszedł Kurp, przystąpił do łoża i położył ucho na usta trupa.

—O! umarł biedak, niech mu przyświeca światłość wiekuista! — przykląkł i trzy Zdrowaś Marya odmówił.

Anna rzewliwie płakała, łzy jej poruszyły Borowego.

— Szkoda go! — rzekł zasmucony — bił się dobrze i dał się dobrze nie raz we znaki czerwonym dyabłom, nigdy nie uciekał, zawsze na przedzie, a teraz...

Otarł łzy sukmaną i wyszedł spiesznie z komnaty, bo nie mógł dłużej patrzeć na martwe zwłoki mężnego wojownika. Żal, boleść i zemsta szarpały jego serce.

Na podwórzu brytan zerwał się z łańcucha i rzucił się na niego. Borowy porwał go wściekle, zdusił i wyrzucił za parkan; krew, którą ujrzał na ręku, ulżyła mu niejako, bo odetchnął wolniej.

XXVI.

Coraz smutniejszy Polska w obecnym czasie przedstawiała widok, zalana była wojskami szwedów, Rossyi, która ciągle popierała stronę Augusta II, zbrojnemi chorągwiami szlachty własnej, tak zwanych Augustowskich i Stanisławowskich. Do tego utworzyła się nowa partya pod imieniem Obojętnych, na której czele był Józef Potocki, wojewoda kijowski, mąż od dzieciństwa prawie aż do sędziwego wieku rycerskiemi dziełami sławny; wiele szlachty, nawet liczne zastępy tatarów powiększyły to stronnictwo. Z początku na żadną stronę dwóch królów współubiegających się o koronę polską nie oświadczyła się, wszakże wkrótce, widząc przemagającą partyę Stanisława Leszczyńskiego, z nią się połączyła, a Potocki za szczere i wierne usługi, niedługo potem otrzymał buławę wielką. Przejście to nietylko wzmocniło jeszcze dotąd niepewną stronę Leszczyńskiego, ale ostudziło nawet zapał najgorliwszych przyjaciół Augusta. Z pomiędzy wielu dotrzymywał statecznie wiary Szmigielski, a rozgniewany na obojętnych, wszędzie ich ścigał i gromił.

Właśnie na czele sześciu chorągwi jechał starosta, mijając Podgórze, z westchnieniem spoglądał to na dawny królów polskich zamek, to na mogiłę Krakusa i szczyty wież kościelnych; pogrążony

w dumaniu, ujrzał Mogielany, a gdy kilka dosłyszał strzałów, kazał się w jednej chwili sformować jeździe swojej.

Przednia straż Szmigielskiego silnie parta już się cofała, gdy sam z dwoma chorągwiami nadbiegł jej w pomoc; nieprzyjaciel zatrzymał się, ale starosta, nie dając mu czasu do ucieczki, uderza i po krótkiej walce rozprasza. Właśnie rozkazał ścigać pierzchających, gdy ujrzał na równinie uszykowane liczne zastępy wojewody kijowskiego. Prawe i lewe skrzydło składały hufce tatarów, środek jazda polska; stali nieporuszeni, czekając spokojnie ataku. Szmigielski, dobrze oznajmiony w tańcu z tatarami, mało cenił ich siłę, uderzył we środek, i od razu złamał szyk cały. Wszystko w rozsypce szukało ocalenia, sam wojewoda patrząc na rozgromione chorągwie swoje, chciał się schronić w las pobliski, gdy oskoczony zewsząd wzięty w niewolę został; obok niego, mając rannego konia, upadł chorąży. Właśnie nadbiegł w to miejsce Szmigielski i gdy jeden ze szlachty wyrwawszy sztandar, rozwinął go, starosta spojrzał na niego i szydersko się uśmiechnął. Były na nim haftowane saskie połamane miecze, a nad niemi orzeł Polski z zadartą w górę głową, z napisem z psalmu wyjętym:

„Confegisti Domine gladios innimicorum et exaltasti caput meum.“ (Połamałeś Panie miecze nieprzyjaciół, a wyniosłeś głowę moją).

— Mości wojewodo! — rzekł do Potockiego— nie zawsze to prawda i wskazał na napis sztandaru.

— Jeszcze mamy całe oręże, ażeby podgalać czupryny zdrajcom i niestałym.

Wojewoda spojrzał surowo mu w oczy i odrzekł z szlachetną dumą:

— Panie starosto! — los bitwy oddał mnie w ręce twoje, jestem braniec, ale to ci nie nadaje prawa, abyś się zuchwale urągał; zdrajcą mnie nazywasz?—zapytaj dworu najjaśniejszego króla Stanisława, jak ciębie tam nazywają.

Szmigielski przygryzł wargi z gniewu.

— Mało dbam na języki pochlebców dworskich i tyle o nie stoję, jak mój kord o łeb tatara! Niechże z nich który pokaże się tyle odważnym, żeby mi w oczy to wyrzekł. W mieście, za wałem, plotki piżmowanych pończoszkowych dworaków mogą jakową mieć cenę, ale na polu bitwy wartoż je wspominać? Widać mości wojewodo, że się troszczysz o nie bardzo, że blizko dworu siadasz, a może i dworską polewkę zjadasz.

Potocki nie odrzekł słowa, ale gdy widział, że Szmigielski zwraca konia, zawołał głośno:

— Panie starosto! — jako braniec mogę mieć tylko do ciebie prośbę. Wiem, że żona moja i dzieci pochwyceni zostali w tym lesie i są w twojej mocy, proszę was za niemi, jestem mężem i ojcem!

I westchnął boleśnie.

Starosta zwrócił śpiesznie konia, zbliżył się do wojewody i rzekł:

— Żona twoja i dzieci są wolne, będziesz się z niemi widział. Przecież my nie tatary, umiemy białogłowy i niewiniątka szanować; wiem, że gdyby moja małżonka lub dzieci były w twojej mocy, równie byś postąpił sobie, mości wojewodo.

Potocki rozrzewniony, podał mu rękę.

Szmigielski uścisnął podaną prawicę.

— W bitwie i w domu bądźmy zawsze rodakami, może przyjdzie szczęśliwa godzina, że szable dolskie, nie rozdzielone niechęcią, na jednem polu będą walczyły.

W rozbitym namiocie, przy małym stoliku, siedział zamyślony Potocki, a przy nim rotmistrz pancerny Wojewódzki stał z uszanowaniem, głaskał siwą czuprynę i w zadumaniu pokręcał wąsa.

— Cóż słychać dobrego?--zapytał Potocki.

— Wszystko źle, panie wojewodo! mają nas wydać Piotrowi Wielkiemu, a ten dyabeł wcielony, Szmigielski (i obejrzał się na wszystkie strony) chce nas jako osobliwy podarunek jemu ofiarować. Wolałbym śmiecie w kruchcie u Kapucynów wymiatać przez trzy niedziele, niż dostać się w takie pazury.

— Niestety! — trzeba się z wolą Boską zgadzać, panie bracie.

— A jać mówiłem wojewodzie, na kata nam było na skrzydła stawiać tych dyabłów tatarów z mysiemi oczyma a z mopsim nosem. Hultaje, tylko do rozboju zdatne, pierwsi uciekli i narobili popłochu, a ja choć z chorągwią dostałem pola, już nic nie mogłem poradzić, rozpędzili moich jak stado jeleni. O! wstyd mi, panie wojewodo, jeszczem nigdy nic podobnego nie doświadczył, z takiem wojskiem przegrać bitwę!

— Widać, że takie było przeznaczenie moje— odrzekł wojewoda.

— Przynajmniej nie moje! — zawołał z gniewem rotmistrz—gdybym sam był z moimi, jeszczebym skórę wytatarował staroście i z jassyrem wrócił do obozu.

Wtem śpiesznym krokiem nadszedł Szmigielski do namiotu. Na jego twarzy widomie malował się gniew i uniesienie.

— Zawołać mi rotmistrza Ordona!—rzekł do służbowego.

Rotmistrz stanął na zawołanie.

— Wszyscy moi na koń żwawo, w tej wsi (i wskazał ręką) jest tam trzech generałów rossyjskich, piją czaj teraz, uderzysz na nich i weźmiesz w niewolę.

Potocki i Wojewódzki słuchali tego z podziwieniem.

— Odtąd — mówił dalej — ogłoś waszmość moim chorągwiom: że wierne nasze służby poświęcamy najjaśniejszemu królowi Stanisławowi I-mu (i uchylił czapki, wymawiając te słowa), a kto nie zechce słuchać, na pierwszej gałęzi przewietrzy się trochę.

— Wy zaś, panie wojewodo—rzekł obracając się do Potockiego—jesteście wolni razem ze wszystkimi swoimi.

— Jakaż zmiana szczęśliwa!—zawołał uradowany rotmistrz Wojewódzki.

— Poznają teraz — krzyknął z uniesieniem Szmigielski — szablę moją ci, co przyjaciółmi Augusta się ogłaszali, śmierć im i zemstę poniosę. Hej! wina w puhary!

Dworzanie przynieśli kilka flasz sporych, starosta napełniwszy duży kielich, podniósł w górę i zawołał:

— Niech żyje król Stanisław I.

— Vivat Rex Stanislaus!—krzyknęła szlachta w pobliżu namiotu, a huk dział i strzelby wtórował tym okrzykom radosnym, zwiastującym już prawie zupełny tryumf i pewność posiadania tronu Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Huk dział zapowiedział przejście starosty Szmigielskiego na stronę tego, dla którego aż dotąd był jedynym postrachem, razem z Kurpiami. Szmigielski już uznał inną sprawę, już oręż poświęcił dla niej, a chłopy bez butów mordercze walki staczali w obronie Augusta II.

XXVII.

Z przerażeniem odebrał generał Steinflicht wiadomość o wyrznięciu w pień przez Kurpiów 400 piechoty i 200 drabantów szwedzkich w Myszeńcu.

— Nikt-że nie uszedł z tej nieszczęśliwej porażki? — zapytał półkownika Rebinder.

— Ani noga! — odpowiedział, — napadli w nocy na nieprzygotowanych.

— Jakto? nie rozumiem, przecież mój półkowniku jesteś żołnierzem, w obcym kraju żołnierz powinien być zawsze przygotowany.

— Nie bronię, generale, majora Brena, przepłacił własnem życiem nieostrożność.

— Prawda, zginął! ale czyż jego życie potrafi opłacić śmierć sześciuset walecznych? On sam za siebie zginął, ale inni, których mu powierzyłem! Dobra nowina dla króla naszego, — zawołał z gniewem, — a spodziewam się go nie zadługo, bo my tu obadwa, z tem co mamy, nie damy tym chłopom rady. Biją się jak psy wściekłe, codzień napady, codzień szarpią.

— Ale i ich ubywa, — rzekł Rebinder.

— I cóż z tego, mój półkowniku? powiesiliśmy stu, a stracili swoich przeszło tysiąca.

— Dziś, generale, mój patrol schwytał jednego Kurpia, straciwszy swoich pięciu, trzech było

rannych, dostali się do niewoli i skończyli na sośnie. Bez litości, bez uwagi na prawa wojenne powieszono wszystkich o tysiąc kroków za miastem.

— To przeklęcie! — krzyknął z gniewem Steinflicht, — każ jeńca przyprowadzić.

Wprowadzono młodego brańca, był to siostrzeniec Borowego, wyniosłego również wzrostu, ale nie tak barczysty. Zwano go Bartoszem wesołym, albo Kurkiem, raz że we wszystkich gospodach do tańca rej wodził, drugi, że naśladował doskonale pianie koguta. Miał ręce wtył skrępowane mocno, włosy w długich splotach spadały mu bez ładu na piersi i ramiona, bladość na twarzy i ogień w oczach świadczyły o cierpieniach jakich doznawał i o zemście, którą oddychał.

Steinflicht, który umiał po polsku, spozierając na niego surowo, rzekł po chwili:

— Czy wiesz ty leśny rozbójniku, że cię każę powiesić?

Kurp szarpnął mocno rękoma, usiłując zerwać postronki co go krępowały.

— Możebyś chciał się porwać na mnie? szatański synu! — plując mu w oczy, zawołał z gniewem generał.

— Daj ręce wolne, to zobaczysz.

— A wielu was takich zuchwalców w jamach wilczych siedzi?

— Ile piasku na naszej ziemi! — odrzekł z pogardą.

— My ten piasek przeczyścimy, od ciebie zacząwszy, — krzyknął Steinflicht, — powiesić go na pierwszem drzewie!

Czterech grenadyerów pociągnęli silnie opierającego się młodzieńca do ogrodu za kwaterą ge-

nerała i na starej wierzbie powiesili. Mężny Kurp nie rzekł słowa, nie prosił swoich katów o darowanie życia, wzniósł oczy w niebo i po niedługiej męczarni skonał.

— Najjaśniejszy pan, — mówił Steinflich, ochłonąwszy z uniesienia, — ma dziś stanąć wieczorem w Ostrołęce, a za godzinę najdalej spodziewam się ośmiu regimentów i 10 dział. Trzeba nam zacząć przed jego przybyciem, gdyż nie mamy się czego lękać napadu z tyłu od jazdy starosty Szmigielskiego; już on sam przeszedł na stronę króla Stanisława, i wszystkim oddziałom swoim wydał potrzebne rozkazy. Odtąd winniśmy ich uważać jako przyjaciół i dzięki niebu, bo przyznać trzeba, że starosta był strasznym dla niezwyciężonych szeregów najjaśniejszego pana.

— Zapewne, generale, — odrzekł Rebinder,— on jeden i te przeklęte chłopy niepokoiły jedynie naszego króla, teraz łatwiej już i tych niedźwiedziów przepłoszymy z lasów.

— Według wiadomości Myszeniec zajmuje jazda i hajduki w niewielkiej liczbie, a Kurpiów wcale niema; można więc bezpieczniej uderzyć, opanować miasto i zabrać osadę. Powierzam tę wyprawę tobie, Rebinderze, wiem iż dopełnisz jej jak najlepiej, i nie zawiedziesz zaufania najjaśniejszego pana, jakie zawsze w was pokłada. Potrzeba naprzód od lasów przeciąć wszelkie drogi przed natarciem z czoła, tym tylko sposobem niespodziewanie dalej się w lasach ukażem, niż się mogą nawet spodziewać; król tymczasem nadciągnie i zajmiem tych niedźwiedzi jamy. Spiesz się, mój półkowniku, spiesz, bo czas drogi, trzeba zaczynać.

Rebinder odszedł, a generał usiadł zamyślony nad mapą.

Lasy i lasy! tu błota, łąki, kawałek pola i znów lasy. Jazdy i armat z korzyścią używać nie można, wszędzie tylko sama piechota naprzód iść musi. Ale niedługo, mam nadzieję, skończymy te zapasy krwawe, bo i o cóż się bijemy?

Ach! rzekł sam do siebie z uśmiechem, uderzając ręką w czoło: jestem żołnierzem, nie rozumować, ale słuchać mi wszelkich rozkazów należy.

XXVIII.

Borowy zaledwie wyszedł z karczmy, gdzie na zgodę po kłótni pili, ujrzał wielkie zamieszanie w mieście. Ze stu hajduków, przeznaczonych do obrony Myszeńca, zaledwie połowa zbiegła na rynek, dwie chorągwie jazdy stanęły w szyku porządnym i silne wysłały patrole naprzód; ale Borowy rozpoznał zaraz, że ciężka będzie tu przeprawa, gdyż zewsząd miasto niezliczone zastępy szwedów otoczyły i wrócił śpiesznie do karczmy.

— No, chłopcy! — zawołał — teraz tylko Boga wzywaj, a ręki przykładaj; dyabły czerwone wokoło zaskoczyli miasto.

Żyd arendarz uśmiechnął się szydersko, dostrzegł to Borowy.

— Ty szpieg szwedzki! czego się uśmiechasz jak czart, kiedy zwiedzie poczciwą duszę?

Żyd zbladł jak chusta i zadrżał.

— A co? widzisz, żydowska wiaro!—krzyknął Kurp, porywając go za kark — że my wiemy, coś dał znać i naprowadził czerwonych dyabłów. Przyznaj się, lub zduszę cię jak piskorza.

— Niewinny jezdem... — wyjęknął arendarz, zimnym potem zalany.

— Zlej wódką brodę—rzekł Kwiczoł—i zapal, to się przyzna, jak zakurzymy pejsy!

— Wiszaj żyda!—krzyknął Kiryło.

— Wiszać! wiszać!—zawołali hajducy.

— Kmotrze — rzekł Łopucha, odwiązując rzemień długi od chodaka — trzeba go powiesić jak szpiega!

Żyd upadł na kolana, wszystkie mu żyły na czole i twarzy krwią nabiegły i drżały, mrugał oczyma, w których łzy nawet przestrach zatrzymał, nie zdołał słowa wymówić, jęczał tylko przytłumionym głosem.

Borowy podanym rzemieniem szyję mu okręcił i przeciągnął drugi koniec na haku od świecznika szabasowego.

— No, módl się po swojemu—wyrzekł do niego—bo zaraz wisieć będziesz!

Żyd skrzywił się, jakby go kurcz po całem ciele łamał, i mrugał bezustannie oczyma.

— Przeżegnaj się i poleć duszę Bogu!—zawołał niewytrzeźwiony Kwiczoł.

Łopucha w głos się rozśmiał.

— Jemu się żegnać? Wszak to żydowska wiara!

Borowy niedługo czekał, pociągnął silnie za rzemień w górę; żyd rękoma uchwycił się świecznika, zaczął błagać i zaklinać, by mu darować życie, że odda wszystko.

— A palnijże tam który po łapach tego pogańskiego syna—krzyknął zagniewany Borowy—bo tu niema czasu!

Kiedy Kwiczoł z Łopuchą wskoczyli na stół, żeby siekierą ciąć w ręce i zmusić żyda do puszczenia trzymającego w ręku świecznika, Kiryło pochwycił go za nogi.

Arendarz oblany zimnym potem, zwątlony na siłach, z przestrachem opuścił zemdlone ręce—rze-

mień ścisnął gardło, chrapnął mocno i skończył życie.

A strzały coraz bliżej słychać było, niedługo od huku dział zadrżała karczma, a szyby z brzękiem wyleciały z okien.

— Żebym sto dyabłów zjadł i szklankę wody się napił! tu niema co dalej popasać! — krzyknął Łopucha.

Huk ten otrzeźwił do reszty Kwiczoła i opiłych hajduków, którzy chcieli wybiegać z karczmy.

— Stójcie, głupcy!—zawołał Borowy—czy jak myszy w łapkę na słoninę lecicie? Patrzcie, czerwone dyabły już są na rynku!

Spojrzeli, piechota szwedzka już opanowała miasto. Wtem wbiega zadyszany Stanisław Bąk, cięty pałaszem od prawego ucha.

— Uciekajmy!—krzyknął—niemcy w mieście, chorągwie nadworne jeszcze się biją, ale hajduków rozprószyli.

Borowy wskazał ręką alkierz żydowski, z którego drzwi prowadziły do ogrodu; ku nim poskoczył, a w jego ślady pobiegli inni. Szwedzi zajęli miasto, dwa działa z rynku grzmiały morderczym ogniem na chorągwie nadworne, które w porządku się cofały, prowadzone przez mężnego rotmistrza Puchałę. Już były blizko lasu, gdy okrzyk z tyłu ich przeraził, ale wkrótce odpowiedziały im wzajemnym, gdyż byli to Kurpie, co nadbiegli pomagać swoim. Zaczajeni poza sosnami i w gęstych krzakach, wstrzymali napad jazdy szwedzkiej, która zewsząd biegła z zapałem na polskie chorągwie. Celne strzały Kurpiów przerzedziły ją odrazu, rozsypała się i uciekła w popłochu do miasta.

Karol XII, który sam już dowodził, rozkazał pułkownikowi Rebinder z dwoma regimentami pie-

choty od prawego skrzydła, a z trzema od lewego generałowi Steinflicht uderzyć, sam z czoła rzucił się z jazdą. Porażka chorągwi nadwornych i Kurpiów była zupełną, mało co uszło z rąk szwedów.

Borowy z trzema Kurpiami i na czele dwunastu hajduków przebiegł ogród, stanął nad sadzawką i spojrzał wokoło, ażeby zmiarkować w którą udać się stronę, Łopucha zbliżył się do niego.

— Kmotrze!—rzekł pomieszany—już teraz nie ujdziem pazurów dyablich! patrzcie! przed nami szwedzka piechota i za nami, a od miasta leci jazda!

— Bogu poleć duszę—odpowiedział ponuro—a ciałem bij dyabłów!

I skoczył na błota.

Kwiczoł, Bąk i Łopucha poszli za jego przykładem, ale z hajduków żaden już nie zdążył, wyrąbali wszystkich szwedzkie drabanty.

Kurpie celnemi strzały wspierali towarzyszów wszakże ratować nie mogli, bo cztery strzały niewiele szkody dwustu szwedom zrobiły.

— Z koni!—zawołał do swoich podoficer Remer—wziąć ich lub zabić!

I wskazał ręką na Borowego i towarzyszów, co się przez błota cofali.

Z pięćdziesięciu drabantów poskoczyło pieszo na błota, Kurpie widzieli z rozpaczą, że wszelka obrona napróżno.

Borowy rzekł do nich zcicha:

— Mierz, ale nie strzelaj, dopóki nie dam znaku!—i postąpił naprzód.

— Poddaj się! pardon zawołaj! — rzekł do niego najbliżej dochodzący drabant.

Borowy za odpowiedź zmierzył i w same piersi ugodziwszy, powalił go na miejscu.

— Donner Wetter!—krzyknął Remer—strzelajcie do tych psów wściekłych!

Kilkadziesiąt kul świsnęło, ale żadna nie trafiła celu, Kurpie nieporuszeni stali. Tymczasem wysłani w tył im szwedzi zaskoczyli i po kilku strzałach powalili i skrępowali powrozami. Borowy jeden był jeszcze wolny, jeszcze się bronił zacięcie szerokim kordelasem.

— Nech sem złożu kord—rzekł nasz znajomy Dołmaszy—niszt im neurobim.

Borowy poznał węgra, dlatego gdy się zbliżył, pchnął go tylko silnem ramieniem i rzucił w błoto.

— Basa! — zawołał węgier, kosztując wody z kałuży.

Borowy stał jak olbrzym, iskrzącem okiem pozierając wokoło. W żylastej dłoni błyszczał kordelas, a strzelbę nieczynną miał przewieszoną na ramionach.

Wkrótce Karol XII nadjechał w to miejsce, a ujrzawszy go, krzyknął na swoich:

— Nie zabijać! wziąć go żywcem, bo lepiej powiesić z innymi na drzewie!

Dosłyszał to Kurp mężny, rzuca się na drabanta, pięciu ubił, nim uległ przemocy, padł jako dąb stuletni, skrępowano mu ręce i zaprowadzono wraz z innymi do obozu.

XXIX.

Przy rozpalonych ogniskach siedzieli żołnierze szwedzcy, w pobliżu skrępowani leżeli Borowy, Stanisław Bąk, Jonek Łopucha i Kwiczoł, oczekując na wyrok przyobiecany.

— No! oddamy im teraz za swoje! król nasz powiedział, że do jednego wywieszać każe,—rzekł wąsaty grenadyer szwedzki. Oczyścimy te ciemne lasy, już żubry, dziki i niedźwiedzie swobodnie w nich bujać będą.

— To mi sia ne paczy, — zawołał nasz drabant.

— Masz prawdę, — powiedział młody podoficer Remer, — pastwić się na bezbronnym, niegodne prawego żołnierza. Dajcie im broń do ręki, oko w oko, kto mocniejszy; a teraz skrępowanych, jak leżą, wieszać! Ja umywam od tego ręce, toby plamiło mój honor, na to nie zdał się żołnierz szwedzki, trzeba rozbójników.

— Hej! hej! — rzekł drabant, — oni maju recht; a my sem z kralom byli u nich, a teraz wiszat‘ każe.

— Co prawda, to nie grzech, — mówił grenadyer, — i ja się nie zdałem na oprawcę; choć nie noszą munduru, bili się jak żołnierze, król wie co stracił swoich.

Borowy westchnął głęboko i z jękiem, bo mu dojmowały sznury.

Dołmaszy zbliżył się do niego:

— Co im doleha?

Kurp nic nie odpowiedział, zaiskrzyły mu się oczy i z gorzkim uśmiechem odwrócił głowę.

Remer zaczął wstawiać się za niewolnikami:

— Popuśćcie postronki biedakom.

Dołmaszy Borowego, potem Bąka rozwiązał, a Remer Łopuchę i Kwiczoła.

— No! hybajte sem do ohnia, damy im i palanku, to budie im tiepło.

Przystąpili Kurpie do ogniska. Dałmaszy dobył tymczasem z mantelzaka flaszy z wódką i zwracając mowę do Remera:

— Nu sem, mors a tergo, bibamus ergo.

— Dobrześ powiedział mój bracie, — rzekł Remer — dziś niejednemu zaśpiewają, Requiescat in pace!

Borowy przyjął flaszę, lecz zaledwie ust dotknął, oddał w ręce Bąka.

— Pre czo ne pijut?

— Bo trzeba po trzeźwu z Bogiem się pojednać.

Wiatr coraz mocniejszy powstawał i zasypywał z ognisk popiołem i dymem, Borowy położył się na ziemi, a przy nim jego towarzysze.

Dołmaszy rozwiesił na krzakach grubą burkę i zasiadł pod jej zasłoną wraz z Remerem, każdy pragnął spoczynku po dziennych trudach. Milczenie zaległo wszystkie ogniska, zdala tylko odgłos czat i straży przerywał cichość nocy.

Ala Borowy nie spał, rozmyślał jakby wydobyć się z niewoli; uważał, że wokoło żołnierze posnęli, jeden tylko wąsaty grenadyer, co najbliżej

ogniska leżał, czuwał i baczne oko zwracał w stronę, gdzie spoczywali.

Wiatr coraz dął mocniejszy, a ciemne słupy dymu z ogniska osłaniały często brańców przed bystrym wzrokiem szweda.

Borowy nie wahal się i na chwilę, przy nagłem zawiewie porwał się, przyskoczył z tyłu, pochwycił za gardło i ścisnął. Twarz grenadyera zasniała do razu, wytrysnęła krew gębą, nosem i uszami. Z martwej ręki wydarł mu szeroką szablę, zdjął pas z pistoletami, okrył się jego płaszczem i spojrzał wokoło.

Wszyscy spoczywali, nikt nie posłyszał ostatniego jęku grenadyera. Borowy stał chwilę, żal mu było opuszczać towarzyszów, ale obawiał się, żeby nie postrzeżono morderstwa.

Zwolna przesuwał się koło ognisk, ku bliskiej puszczy, gdy w ostatnim łańcuchu straży dojrzał go szwed na czacie stojący.

— Wer da? — zawołał.

Borowy niezrozumiał co to znaczy, ani wiedział co odpowiedzieć, krótko się namyślał, przybliżył się nagle do niego, i strzałem z pistoletu powalił od razu.

Ten odgłos poruszył cały obóz, porwał się Remer i Dolmaszy.

— Bassa! szo to za nowina? tak sem dobre spali.

Remer poskoczył do grenadyera, żeby zbudzić, widząc iż zasnął twardo, lecz jakież było jego podziwienie, gdy go ujrzał bez duszy! Głowa w kale krwi zsiadłej bez poruszenia leżała, włosy roztargane, oczy bielmem i krwią zaszłe wysadzone na wierzch, twarz osiniała.

— Zabity! krzyknął z przerażeniem.

Dołmaszy zbliżył się, wziął grenadyera za rękę i niewyjmując krótkiej z ust fajki:

— Maju recht, pomar!

Kurpie porwali się także ze snu na pierwszy rozruch, spojrzeli po sobie, żaden wszakże nieśmiał zapytać drugiego, gdzie jest Borowy.

Ale bystry wzrok węgra dojrzał braku.

— A de sem sia, bassamazania! podieli ten weliki chlap?...

— Nie wiemy, — odpowiedział Kwiczoł.

— To sem oni taku breweryju narobili?

Remer posłyszawszy o ucieczce Borowego, co żywo dosiadł konia i z sześciu drabantami poskoczył w stronę gdzie strzał usłyszał.

Dołmaszy tymczasem już ostrożniejszy, związać kazał niewolników i silną ostawił strażą, sam poszedł o tym wypadku donieść starszemu, przeklinając całą drogę.

Ciemność nocy zwiększała się coraz w gęstym lesie, którędy uchodził Borowy, zatrzymywał się niekiedy i natężał ucho, czy nie zasłyszy pogoni.

Zmordowany położył się w gąszczu i wystrzelony nabił pistolet. Nagle się zerwał, po chwili przyłożył ucho do ziemi.

— Gonią! ale prędzej samego Twardowskiego niźli mnie uchwycą.

Poskoczył w lewo, a dostawszy się na wązką dróżynę zwolnił kroku. Noc zaczęła się wyjaśniać, a blade promienie księżyca przedzierały się między liście odwiecznych dębów i konary wyniosłej sosny.

Wybiegł na pole, ztamtąd na wzgórze, jałowcem okryte, skąd ujrzał całe obozy szwedów. Paliły się wielkie ogniska, a łuna od nich wokoło od-

bijała o krzaki i drzewa. Widział tam poruszenie i kilku jeźdźców pędzących w stronę, gdzie celnym strzałem powalił Szweda na czatach.

— Próżno konie mordujesz, pomyślał, już teraz Borowy pan w lasach.

Zeszedł ze wzgórka, niedługo ujrzał światło, dążył ku niemu i zastukał mocno we drzwi.

— Kto tam?

— Swój, swój Małgosiu!

— Święta Małgorzato! dyć to nasz kuma!

Wszedł Borowy, Małgorzata została przy drzwiach.

— A mój Staśko?

— U Szwedów, — bo tylko Borowy uszedł pazurów niedźwiedzia.

— O! najsłodsze imię Jezus! co się z nim stanie, może go zabili! — i zaczęła rzewliwie płakać.

— Nie zabili, ale zamordują, jeżeli mu pomocy nie damy, zawołajcie Jaśka.

Małgorzata wybiegła po syna, Borowy zdjął strzelbę, pokręcił i pieńkiem nabił.

— Nie jeden tur i niedźwiedź ani odetchnął jakiem mu dał połknąć kawałek żelaza i szwed ani westchnie, jak pośwista Borowy kulą.

Jaśko nadbiegł zadyszany.

— Mój tatulo! mój tatulo! może go już zabili.

— Chłopcze! tu żal nie pomoże, trzeba ręki i pomocy Boskiej. Ruszaj co żywo do Dąbrowy, niech na gwałt uderzą dzwony, ja tam zaraz nadbiegnę.

XXX.

W małej wiosce ustronnej nad Omulewem odbywało się wesele młodego Jonka bartnika.

Brzmiały skrzypce i basy, panna młoda siedziała wedle dawnego zwyczaju na dzieży, okrytej białem płótnem, dziewczęta na druchny wybrane, rozczesywały jej warkocz i nuciły żałobliwym głosem:

Zakukała kukaweczka na wieży,
Zapłakała Marysieczka na dzieży,
Zakukała kukaweczka na Bugu,
Zapłakała Marysieczka przy ślubu.

Gdy nagle odgłos bębna pomieszał wszystkich, kobiety wystraszone, pochowały się do komory, mężczyzni zabierali się do obrony, wtem wpada młody Jaśko.

— Nie czas wam uciekać, czekajta cicho, tu dyabłów czerwonych zabawta, a ja dam znać swoim i Borowemu.

— To żyje Borowy?—zawołali radośnie — nie bójcie się dziatwa i niewiasty, on nas wybawi z każdej biedy.

Jaśko po drabinie wybiegł na poddasze, wydarł kilka snopków z poszycia i przysiadł przy samym kominie, wieczór dosyć ciemny ukrył go przed oczyma krwi chciwych nieprzyjaciół.

Tymczasem zbliżała się kompania grenadye-

rów szwedzkich, bęben zwolna marsz wybijał; przy nich jechało do ośmiu szlachty zbrojnej polskiej, stronników Leszczyńskiego, którym dowodził osiwiały Jordan.

Słysząc muzykę i gwary, zachęcił szwedów do nawidzenia tego domostwa.

— Tu się — rzekł — i posilim łatwiej i popijem czegoś, zawsze albowiem czuł wielkie pragnienie.

Möller, kapitan szwedzki usłuchał tej rady, otoczyli dom wokoło, żołnierze zostali na podwórzu, a kapitan z dwoma oficerami i szlachtą polską weszli do izby.

— Coś dobrze tu pachnie—zawołał wąchając Jordan—czuć krupniczek weselny, o to wyborny truneczek, dajcie na sam.

Marszałek weselny przyniósł wielki gąsior zachwalonego krupniku, Jordan przyłożył nos czerwono siny, jak u jendora, i ruszając wielkiemi wąsami:

— Ma niezły zapaszek, próbujmy — nalał szklankę, splunął i połknął do razu.

— Kapitanie! — rzekł do Möllera — skosztuj ino, jakiem Sodalis Marianus, przewyborny! wódka dobra, a miodek osłody i smaku dodaje.

— A nie macie co tam, moi poczciwi drużbowie, co do zasilenia głodnego brzucha? bo mój nos czuje tu jakiś groch, niby gęś, niby prosię, niby kaczkę—i przysunął się do komina, gdzie ukryli na miskach potrawy na ucztę weselną przygotowane, wyciągnął gęś pieczoną i dwoje prosiąt.

— Bóg dajto wesele! patrzcie, co tu za dostatek wszystkiego, widać, że nas szczęśliwa gwiazda prowadziła, bo i mamy co jeść i popijem czegoś, nie prawda, kapitanie?

Ale kapitan Möller, rozgrzany już krupnikiem, wszedłszy z dwoma oficerami do komory, gdzie się niewiasty ukryły, nie dosłyszał przemowy Jordana, ujrzawszy kilka młodych i nadobnych kobiet, chciał się bliżej z niemi zapoznać, lecz na nieszczęście zaledwie kilkanaście umiał wyrazów polskich.

Z początku zaczął rozmowę, ale widząc, że go nie rozumieją, rozgniewany i rozmarzony trunkiem, porwał silnie za rękę pannę młodą, a nie zważając na krzyk jej, ciągnął za sobą.

— Jakto! czy pozwolisz waszmość na to? — zapytał z iskrzącym wzrokiem Jordana jeden z jego towarzyszów, Radwan—czyż i w oczach naszych mają dopełniać gwałtów i rozbojów?

— Daj pokój, mój bracie — odrzekł Jordan, nasuwając czapkę na ucho — za krew chłopską nie warto się ujmować, juści bić się z nim nie będę, a ona jak się wykrzyczy, to i da pokój.

Radwan, nie mogąc znieść widoku gwałtu i zuchwałości, z jaką wśród zgromadzonych wlókł dziewczynę do drzwi, wyskoczył z za stołu i krzyknął groźno:

— Puść ją, kapitanie, dopóki proszę—i dobył szabli do połowy.

Möller za odpowiedź uderzył go nogą w piersi.

Na taką wzgardę dobywa korda i z wściekłością uderza na kapitana, który nie mogąc się bronić, odebrał straszne cięcie przez obadwa oczy i padł oślepiony. Żołnierze, widząc swego dowódcę zranionego, wpadają do izby, jeden z nich rzuca się na Radwana i mierzy bagnetem w piersi, ale ten równie silny jak zręczny, szlifowaną karabelą do razu obcina bagnet. Szwed rozgniewany mierzy, a z połyskiem na panewce padł trupem szla-

chetny Radwan. Śmierć jego rozjątrza szlachtę i Kurpiów, powstaje wrzawa, a wkrótce zacięta walka.

Jaśko korzystał z zamieszania i krzyków, cichaczem zsunął się z dachu, zeskoczył w ogród i pobiegł do lasu, gdzie Borowy oznaczył stanowisko do zebrania Kurpiów.

A w domostwie, gdzie niedawno radowano się, słychać było tylko jęki, szczęk szabli i gęste wystrzały.

Rozjątrzona szlachta z Kurpiami walczyła mężnie z przemagającą siłą.

Jordan podpiły i wystraszony, schował się pod ławę przy oknie, żeby się zaś uchronić strzału, przykrył się trupem jednego z grenadyerów szwedzkich.

Niewiasty, między któremi dwóch oficerów zostało, zamknęły drzwi komory, a ochłonąwszy z przestrachu, rzucają się na nich i po małym oporze wiążą opiłych, wynoszą do ogrodu, topią w stawie i uciekają w poblizkie lasy.

Borowy ze swymi lotem sokoła nadbiega, prowadzony przez Jaśka. Trzydzieści strzałów obaliło do razu trzydziestu szwedów, reszta odurzona nagłym napadem, straciwszy oficerów, nie wiedziała, co dalej począć.

— Morduj bez litości! — rozległ się grzmiący głos Borowego, a posłuszni Kurpie dopełnili ściśle rozkazu dowódcy.

Wymordowano wszystkich bez uwagi na wszelkie prośby.

I Möller wyzionął ducha pod licznemi razy, wyrzucono jego trupa za okno i zaczęto oczyszczać izbę.

Jordan ująwszy przez wpół rękoma dotych-

czasową swoją tarczę, nie tak łatwo się jej puścił, ale wyciągnęli go razem z zabitym szwedem na środek izby.

— Coś ty za jeden?—zapytał go Borowy.

— Ja... ja... ja jestem sobie szlachcic na wasze usługi — rzekł drżącym głosem, a nos od trunku i przestrachu zajaśniał burakową czerwonością.

— To nasz niby dowódca — zawołał ranny Bończa — on to był powodem tej walki i śmierci walecznego Radwana, wartoby mu dać napomnienie.

— A weź ta no go chłopcy! — krzyknął Borowy — a że to pan szlachcic, rozłóżta sukmanę.

Rozkaz dopełniono, napróżno wołał Jordan, że zawsze kocha najjaśniejszego Augusta, że służył jego sprawie, napróżno wzywał opieki niebios i wszystkich świętych, odliczyć mu kazał Borowy pięćdziesiąt przypiekanych boćkowskich kańczugów. Ochrypł i omdlał z krzyku i boleści, ale nie długo otrzeźwiał, zlany kilkoma wiadrami zimnej wody.

— Wsadzić i przywiązać go na konia! — zawołał Borowy; a gdy już Jordana przymocowano do siodła, zbliżył się Kurp, zaciął silnie podjezdka, który galopem poniósł go do lasu. Jordan zaledwie z wysileniem zdołał narowną szkapę uhamować i zwolnił biegu.

— O! jakiem Sodalis Marianus—rzekł z gniewem, ocierając pot z czoła wyciśnięty sławną fabryką bizunów, nie zapomnę tej krzywdy, pomszczę się srogo! A moi panowie bracia, zamiast ratować z tego skweresu, to bij zabij na swego dowódcę; niczego jednak nie żałuję, jak tej gęsi smacznej, bo i było czem popić.

Westchnął boleśnie i jechał dalej.

XXXI.

Na czele pięćdziesięciu odważnych Kurpiów darł się Borowy przez ciemne lasy, spiesząc w nadziei uwolnienia swoich od śmierci niechybnej. Stanął na tym samym wzgórzu, skąd się wczoraj przyglądał pogoni za sobą. Też same rozpoznawał miejsca, gdzie leżał skrępowany, tliło jeszcze ognisko, zdawało mu się, że widzi grenadyera rozciągniętego w kale krwi zsiadłej, że spostrzega swoich oczekujących na wyrok surowy. W temże samem stanowisku zostawał obóz szwedzki, Borowy rozpoznał wszystkie przysmeki, ale wahał się długo, nie miał pewności gdzie więźniów trzymają; gęste czaty z podwójną bacznością w poczwórnym łańcuchu otaczały obozy. Lecz szczęsna zabłysła gwiazda: ujrzał że drabant szwedzki spieszy na koniu w stronę, gdzie w ukryciu zostawali. Borowy rozstawił swoich, zalecił milczenie, wzbronił strzału, żeby żywcem ująć szweda.

Jeździec widziany, był to Dołmaszy, który z rozkazem Karola XII spieszył do Myszeńca.

Węgier palił krótką fajkę, coraz dodając ostrogi swemu kasztanowi, przejechał wszystkie łańcuchy i zbliżył się drożyną wązką do krzaków, gdzie się skręcała, prowadząc w las nieprzejrzany, w którym Kurpie uczajeni leżąc na brzuchach czekali sposobnej chwili.

Dołmaszy zwolnił trochę, bo mu fajka zagasła.

— Bassa!—pomruknął, dobył krzesiwa i zaczął wykrzesywać ogień.

Właśnie wjechał w las ciemny, koń się potknął o korzeń.

— Kutia!—krzyknął rozgniewany i dał obie ostrogi; kasztan stanął dęba, gdy nagle ze stron wszystkich podnieśli się Kurpie, a węgier do razu ujrzał się otoczonym.

— „Mater Dolorosa!“—zawołał przerażony.

Borowy wziął go za kark, jakby szklankę wódki, podniósł w górę i postawił na ziemi. Dołmaszy odurzał ze strachu, słowa przemówić niemógł. Borowy spojrzał mu w oczy i poznał znajomego.

— To poczciwy miemiec—rzekł z uśmiechem, znamy się już podobno.

Węgier powoli przyszedł do siebie.

— Prawdu prawiu — odpowiedział — społom spali i tuhu palanku pili. Ale oni sem bidu narobili jak utiekali.

— A gdzie nasi?

— Wnet ich budu wiszat.

— Gdzie nasi?—zapytał groźno Borowy.

— Uż oni rady sem ne dadzu, tam welmi wojaków ich strzeże.

— Prowadź nas!—krzyknął w uniesieniu—zobaczymy kto mocniejszy.

Dołmaszy z podziwieniem spojrzał na niego. „Ket' sem każu, dobre, my ich powedemo, ukażem de ich trymaju“. Nałożył sobie fajkę, zakrzesał ognia i zapalił.

— Jaśku!—zawołał Borowy—weźcie tego konia, zaprowadźcie do chaty i pilnujcie.

Dołmaszy nie myślał odstąpić ulubionego wierzchowca i uchwycił silnie za musztuk. „A ket ja sem ne darujem im konia.“

— Myślisz że cię będziem prosić?—krzyknął Borowy i wstrząsł nim tak mocno, porwawszy za bary, żo węgrowi fajka wyleciała i słońce ujrzał w oczach.

Puścił trzymane lejce, Jaśko poskoczył, dosiadł żwawo kasztana i pędem ruszył.

Dołmaszy rozżalony i zgniewany utratą konia. „Ket sem wziali moho konia, moho sem jedynoho pryjatela, to sem ich nie zawedu.

Borowy podniósł pięść silną, aż Dołmaszy się skurczył i rzekł pokorniej:

— Uż sem ich powedemo, no nech dadzu pokój—i postąpił naprzód.

Dwóch Kurpiów wzięło go pod ręce, Borowy z wymierzoną strzelbą szedł za nim, reszta w największej postępując cichości, znikła w ciemnościach lasu.

XXXII.

Pod ścisłą strażą skrępowani leżeli Stanisław Bąk, Kwiczoł, Łopucha i przeszło 300 Kurpiów, wziętych w niewolę. Kilka szubienic wznosiło się do okoła, wóz wyprzężony stał przy nich napełniony powrozami do wieszania brańców, nikt nie litował się ich nędzy, nikt nie litował ich cierpień.

— Jonku!—rzekł Bąk z cicha—czy nie można prosić, żeby popuścili trochę postronków, przetarły mi ciało, krwi pełna sukmana.

— Tak, tak, proś-ta tych dyabłów, co litości nie mają—odpowiedział—ostrożni teraz, jak Borowy uciekł, jeszcze lepiej skrępują.

— Mój kumo!—ozwie się Łopucha—godzina ostatnia już bliska, żeby choć księdza przysłali, coby duszę grzeszną oczyścił.

— Czego też pragniesz! To lutry, kalwiny, bezbożne syny, oni nie znają tego, a jakbyś prosił toby wyśmiali poczciwego katolika — powiedział Kwiczoł—nawieźli postronków z miasta na biedaków, co bezbronni leżą jak barany.

— O! żebym miał moją Jordankę, wystrzeliłbym każdy postronek z ręki kata, coby wieszał którego; a teraz mój Boże! mój Boże! Wtem nagle rozruch powstał w obozie, zabłysło kilkadziesiąt strzałów w pobliżu, trwoga ogarnęla szwedów, rzucili się do broni.

Schwytany Dołmaszy prowadził Borowego i jego towarzyszów ustroniem w miejsce gdzie skrępowani Kurpie pod silną strażą leżeli. Pierwsze czaty uwiedzione głosem drabanta, przepuściły ich z łatwością, ale drugie dostrzegły podejście. Borowy też nie myślał dłużej podchodzić zdradnie i otwarcie uderzył, rozbił straże z łatwością i znalazł więzionych braci.

— Rozcinać postronki!—zawołał do swoich—a który wolny uciekaj w lasy, tam się zobaczym. Sam poskoczył do Stanisława Bąka, rozciął mu sznury, a wskazując bliskie krzaki, rzekł do niego:

— Staśku! w imię Boskie weź-ta nogi za pas i w nogi, pociesz-ta swoją Małgosię i Jaśka, a jeżeli zginę, pomódlcie się czasem i za moją duszę dajcie tam na Mszę świętą.

Stanisław ścisnął go za rękę ze łzami i pobiegł wskazaną drożyną.

Na odgłos strzałów uderzono na znak trwogi. Ze wszystkich stron piechota szwedzka rzuciła się do broni a jazda na koń. Borowy ujrzał się jak w klatce zewsząd ściśniony, wielu Kurpiów ratowało się ucieczką, ale on sam po krótkim oporze wraz z Kwiczołem, Łopuchą i wielu innemi wzięty w niewolę został.

Karol XII, rozgniewany taką zuchwałością, jak nazywał, tych chłopów bez butów, wydał wyrok śmierci na wszystkich Kurpiów, co wpadli w ręce szwedów, z rozkazem, ażeby jeden drugiego wieszał. Major Rumler, znany z okrucieństwa, przeznaczonym został na wykonawcę wyroku Karola. Na czele dobranych siepaczy stanął między skrępowanemi Kurpiami.

— Ten wielki chłop—zawołał, uderzając nogą

w głowę Borowego—zda się na rzeźnika, rozwiązać go, niech wiesza zaraz drugich.

Borowy westchnął boleśnie i powstał. Rumler wskazał Kwiczoła, ażeby go powiesił. Kurp zbliżył się do niego, a okręcając powróz w około szyi, rzekł z cicha:

— No kumotrze, westchnij do Boga, bo to ostatnia godzina nasza, wolę cię zdusić w ręku niż wieszać, to ci lepiej będzie. Pocałował go w czoło i ścisnął rękoma za gardło, a Kwiczoł upadł bez duszy.

Rumler z szatańskim uśmiechem pochwalił Borowego siłę, ale rozkaz powtórzył, żeby wieszał nie dusił.

Nie każdy z Kurpiów był tak posłuszny do razu jak Borowy, wzdrygał się niejeden zgrozą przejęty, ażeby miał ojca własnego, brata i krewniaka lub kuma wieszać, lecz wnet siepacze wymyślonemi katowniami zmuszali nieszczęśliwych.

Łopuch, co się wzbraniał powiesić swego brata, doznał tygrysiej męki na sobie. Zdjęto mu chodaki, a rozpaliwszy do czerwonego bagnety, kłuli go w podeszwy i łydki. Skwarzyło się ciało, Kurp mężnie cierpienia znosił i wołał mocnym głosem:

— Mordujcie! bijcie! Bóg się pomści, ja nikogo nie powieszę.

Borowy na ten widok zadrżał, oddech miał ciężki, piersiami gwałtownie robił, oczy mu krwią nabiegły. Po chwili rzucił się na Rumlera, pięścią tak silny cios w skronie wymierzył, że go zabił do razu, roztrącił straże, rzucił drabanta z konia, sam go dosiadł i w pełnym biegu dobiegał lasu.

— Strzelaj! strzelaj! ognia do niego!—zawołano zewsząd, kilkadziesiąt kul świsnęło w około Kurpia, dwie go trafiły. Borowy uczuł postrzały,

chwycił się oburącz za grzywę, koń wystraszony pędził jeszcze mocniej. Kurp czuł, jak opada na siłach, przez obfity upływ krwi nie mógł się utrzymać, wzrok mu ciemnieje, zachwiał się, skonał i upadł przy samej Mogile Upiora; ale tak silnie skośniałe ręce za grzywę trzymały, że rumak spłoszony ciągnął Borowego za sobą.

Śmierć Rumlera i Borowego ucieczka nie zmieniły losu Kurpiów, blizko trzystu, nawzajem się wieszając, zginęło. Łopucha obumarłym wzrokiem musiał patrzeć na męczarnie swoich współbraci, nim dobroczynny bagnet starego grenadyera dopomógł mu skonać.

O pół mili od tego miejsca pokazało się z lasu kilkunastu hajduków, a z boku chorągwie nadworne wojewodziny. Hajducy zajęli w łańcuchu spoznaczonym stanowiska i sokolim wzrokiem spoglądali naprzód, skąd się nieprzyjaciół spodziewano. Nagle z pośród krzaków ukazał się koń w największym pędzie lecący na nich.

— Pu! pu! na psa urok!—zawołał spluwając hadjuk Brzoza—a czy widzisz no go? i pokazał Jankowi Sikorze, co stał najbliżej.

— To koń może po którym zabitym z naszych chorągwi—odpowiedział Jonek.

— Tak, koń, toć go widzę, ale co się to przy nim wlecze?

— A dalibóg-ci i prawda! — krzyknął Sikora zadziwiony—co to za kaduk?

— Albo strzelę, czy co?—rzekł Brzoza, mierząc rusznicą.

— Nie rób-ta głupstwa, bo jeżeli to złe, kula się nie imie, a szkodaby konia, lepiej go złapać, może co znajdziem.

Usłuchał tej rady Brzoza i uważał gdzieby

zaskoczyć i pochwycić konia; ale ten zmordowany biegiem, wysilony ciężarem, który dźwigał, upadł w pobliżu, a z rozdętych gwałtownym oddechem szerokich nozdrzy krew zarumieniła piasek. Brzoza, jak prędko skoczył, tak jeszcze prędzej odskoczył z bojaźnią i zaczął się żegnać.

— A co ci tam za dyabeł?—zawołał Sikora i spojrzał gdzie mu Brzoza palcem wskazywał.

— No! i cóż to? ot zabity człowiek.

— Może to upiór?

— Gdzież by ci upiór był blady, wszak ci zawsze czerwony i żyje, a ten—mówił dalej Sikora, uderzając kolbą karabina trupa -ani nogą kiwnie, zabity.

— Prawda—odrzekł śmielszy już Brżoza—żeby upiór piechotą nie leciał przy koniu, wolałby sobie jechać—i zapatrując w trupa po chwili wykrzyknął:—święty Bonifacy! dyć to Borowy, nasz gajowy; ale jak się zmienił, cały osypany piaskiem, mój Boże! któżby się spodziewał, że człowiek ten zginie, onby i dyabła pobił.

— Przyszła kreska na Matyska, kto czem wojuje, to od tego ginie!—rzekł Sikora. Ale szkoda go, nie raz wlał za kołnnierz gorącego okropu dyabłom czerwonym.

— A oni teraz nam naleją — odpowiedział Birzoza.—Czy nie wiesz? Kurpiów rozbili, wiele ginęło, ot teraz i Borowy; sam ich król, co z dyabłem trzyma, nie daleko stoi, a nasza garść hajduków i tę trochę jazdy potrafi ich pobić? Chyba zaprzedaj dyabłu duszę, żeby ci swojej pomocy udzielił.

Sikora tymczasem odpiął mantalzak do siodła przytrokowany, otworzył i znalazł mundur, dwie podkowy, kilka nabojów, buty, szczoki i szydło.

— Do dyabła! — zawołał rozgniewany — ani

szeląga niema, gdzież podziewają pieniądze, co na naszych codziennie rabują?

— Brzoza uważniej przejrzał mantelzak i w chustce znalazł kilka dukatów i trochę srebra. Podzieliwszy się zdobyczą, rzekł—no! wartałoby zanieść Borowego do obozu, żeby mu ksiądz zaśpiewał i pochował w swiętej ziemi, choć umarł zapewne bez spowiedzi.

— Zgoda, tylko mu oderwij ręce od grzywy.

— Gdzie tam rozdejmiesz palce, mocno się trzyma, kiedy koń go aż tutaj przyciągnął; niema sposobu, trzeba uciąć grzywę.—Dobył pałasza i jednem cięciem uwolnił konia od trupa. Ale na ręku go nie udźwigniem, on więcej zaważy niż wół podolski dwa lata paszony; trzeba przywiązać sznur do nogi, to go i zaciągniemy.

— A z koniem co zrobim?—zapytał Sikora.

— Nie wiele z niego uciechy, patrz, podnieść się nawet nie może, jak bokami robi, a w nozdrzach krew zsiadła, nim dojdzie obozu, to pewnie zdechnie; na, zwiąż sznur mocno, żeby się nie wyśliznęły nogi, a teraz ciągnijmy.

Jeszcze nie doszli swoich stanowisk, gdy ziemia zadrzała od huku dział i ręcznej broni, szwedzi ze wszystkich stron uderzyli raptownie, dym i kurzawa okryły nieprzejrzaną chmurą całe pole bitwy.

XXXIII.

Wojewodzina Działyńska już przyszła do zupełnego zdrowia, lubo niekiedy ból z odniesionej rany uczuwać się dawał; Zofia Ordonówna siedziała zasmucona nad krosienkami, gdy wszedł Jan Huczko, pachołek Telembskiego.

— Cóż nowego przynosicie, mój Janie? — zapytała z radością Zofia — a gdzie pan? — dodała po chwili.

— Mój pan nie długo przybędzie, zatrzymał się tylko na pogrzebie rotmistrza Przezdzieckiego, co po śmierci pana młodego Grudczyńskiego, który z ran odebranych umarł, we dwa dni skonał. Mój Boże! co też tam było płaczu, bo się została jedna córka, jak też ten gołąbeczek płakał, wyrzekał; matki już dawno niema, a teraz i ojca straciła. Ale pogrzeb odbył się suto, z paradą, wiele było księży, a gdy trumnę do grobu spuszczali, strzaskano jego herbową tarczę, bo umierał bez syna, ostatni swego domu i herbu.

Wojewodzina właśnie weszła do komnaty, opowiedział jej toż samo.

— Więc młody Władysław umarł! — rzekła boleśnie — niech spoczywa w Bogu! Ojczyzna straciła w nim jednego z przedniejszych obrońców. Był to przyjaciel mojej młodości, chowaliśmy się razem, bawili w dzieciństwie wspólnie, wiele cier-

piał! — i odwróciła głowę, ażeby nie okazać łez, które jej żal wycisnął.

Wtem, wpada wybladły podstarości i donosi, że Szwedy opanowali Myszeniec, osadę zabrali, Kurpiów, co biegli w pomoc, rozbili i są nie daleko.

— Któż przyniósł tę wiadomość? — zapytała pomieszana wojewodzina.

— Hajduk ranny, jaśnie wielmożna pani, co uciekł z Myszeńca, czy ma się stawić?

Wojewodzina skłonieniem głowy dała znak, ażeby przyszedł.

Podstarości wybiegł i niedługo stanął wraz z hajdukiem Grzędą, który był cięty w głowę i przestrzeloną miał rękę.

— Cóż przynosicie nowego? — zapytała wojewodzina.

— Wszystko złe! dyabły czerwone o dwie tylko mile, Myszeniec zajęli i wszystkich.

— A mój rotmistrz, Puchała, z dwoma chorągwiami?

— Ranny i wzięty w niewolę.

— A hajducy?

— Co do nogi wycięci, może trzech lub czterech uszło z ogólnej porażki. Po trupach nie daleko karczmy, gdzie leżało ich nie mało, poznałem między innymi Snigurkę.

— A Borowy, gdzie się obraca? — mówiła wojewodzina już wybladła i drżącym głosem.

— Borowego powalili jak tura na błotach, może i zginął, bo czerwone dyabły wszystkich chcą wywieszać Kurpiów, tak ich król rozkazał.

— Boże wszechmocny! — zawołała Działyńska, i zalane łzami oczy podniosła w niebo.

Nie długo tętęt koni na podwórzu usłyszano, był to Telembski wraz z kilkunastu z chorągwi nadwornych, co uszli rąk szwedzkich, a których spotkał po drodze. Telembski zeskoczył z konia i wbiegł do wielkiej sali.

Blade lica wojewodziny okrył mocny szkarłat, Zofia z żywym rumieńcem krzyknęła z radości, ale nie śmiała się rzucić w objęcie narzeczonego. Powitał z uszanowaniem Działyńską, a z zapałem tyle mu drogą i kochaną Zosię.

— Panie Stanisławie — rzekła z powagą, hamując gwałtowne wzruszenie i bicie serca wojewodzina — czy wiecie?

— Już wiem wszystko! jesteśmy sami, wszyscy nas opuścili, nawet Szmigielski. Ale póki ręka żywa może za kord ostry chwytać, lepiej zginąć poczciwie, niż haniebnie zdradzić!

— Cóż powodowało starostę do przejścia na stronę wrogów naszych?

— Co? duma i próżność: w bitwie schwytał Potockiego z rodziną i sam osobiście chciał go oddać w ręce Piotra Wielkiego. Książe Menżykow, naczelny generał wojsk posiłkowych Augusta, czy zazdroszcząc mu tego, czy niedowierzając, oparł się temu, a Szmigielski wraz na stronę przechodzi szwedów, i nowego króla służby przyjmuje. Grożą nam zewsząd niebezpieczeństwa, dla tego spieszyłem, by czasu daremnie nie tracić. Pozwoli pani wojewodzina, że ją wyręczę w rozporządzeniach? Chorągwie nadworne na koń co żywo, hajduki niech staną pod bronią i wyruszą do Mogiły Upiora, zapalić ognie na znak trwogi, po wsiach uderzyć na gwałt we dzwony.

Zofia wybladła słuchała Telembskiego, podstarości bezwłocznie wyszedł ogłosić rotmistrzom chorągwi i dowódzcy hajduków wydane rozkazy.

— Mój Janie! — rzekła po chwili wojewodzina do pachołka, świeżo przybyłego — powiedzcie księdzu Józefowi, kapelanowi, ażeby pobłogosławił nasze chorągwie, może to ostatnie dla nich żegnanie! — i ukryła twarz w białych dłoniach.

Doznane klęski, nieszczęścia ojczyzny i widok Telembskiego, którego tyle namiętnie kochała, obok Zofii, zbyt ją poruszyły, płakała jak dziecię. Ale wkrótce wróciło jej męstwo i spokojność na twarzy, gdy wszedł dworzanin i doniósł, że wszystko już w pogotowiu, stosownie do wydanych rozkazów.

— Podać mi hełm i zbroję — rzekła do niego — a konia niech wyprowadzą na dziedziniec.

Telembski, jakkolwiek zajęty rozmową z ukochaną Zofią, dosłyszał ostatnie słowa Działyńskiej.

— Jakto! — zawołał — chcesz się na nowo pani wojewodzina narażać? zostaw nam tę wyprawę — dodał z rozrzewnieniem, całując jej rękę — raną zapewne jeszcze dolega.

— O! rana moja — odpowiedziała ze smętnym uśmiechem — nigdy się nie zgoi i zawsze dolegać będzie. Walka ta (mówiła dalej z westnieniem) będzie zapewne ostatnią, Karol XII osobiście przywodzi i prze naszych całemi siłami.

— Tem lepiej! — odrzekł z zapałem Telembski — on ma siły większe, my większe męztwo okazać powinni. Ale czas nagli, trzeba uprzedzić naszych wrogów, by w lasy nasze zajrzeć nie śmieli. Bądź zdrowa moja droga i kochana Zosiu! — wymówił z cicha — Bóg dobry ziści nasze spodziewane nadzieje, zobaczym się jeszcze — i przytulił niewinną dziewicę do bijącego serca. Wojewodzina zadrżała, a kładąc hełm na głowę, otarła nieznacznie łzy swoje. Żona tuląc się do łona kochanka, jak bojaźliwy gołąbek, rzewliwie płakać zaczęła.

— Bądź zdrów, bądź zdrów! niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi! — były ostatnie jej słowa, które usłyszał Telembski, gdy wyrywając się z jej objęcia, pospieszył na dziedziniec.

Stały już tam chorągwie nadworne, uszykowani hajducy i kilkuset Kurpiów zbrojnych, między nimi z krzyżem w ręku poważny kapelan. Działyńska ukazała się na ganku, okrzyk radosny powitał bohaterkę.

Kapelan przeżegnał wojowników, krótką odmówił modlitwę i rzekł głosem poważnym i mocnym:

— Ufajcie Bogu! niech was nie ustrasza liczba nieprzyjaciół, zwalczycie ich za jego świętą pomocą. Ufajcie Bogu! on wesprze wasze ramie i doda siły orężowi polskiemu, co w szłusznej sprawie dobyty za wiarę, ojczyznę i króla. Skończył, przeżegnał jeszcze i pobłogosławił.

Wojewodzina dosiadła rumaka, wskoczył lekko na konia Telembski, zagrzmiały trąby i kotły. Niedługo milczenie ponure osiadło zamek, a w dali czasem tylko zabłysła zbroja, lub wiatr przyniósł słaby odgłos trąby wojennej.

XXXIV.

W kaplicy zamkowej zapalono świece, na środku stała trumna, w której złożono zwłoki poległej w krwawej i morderczej walce wojewodziny Działyńskiej: ugodzona w same piersi, zakończyła bohaterskie życie.

Równego losu doznał Telembski, kula działowa urwała mu nogę, prawie na skonaniu przywieziono go do zamku. Jan Huczko złożył na wielkim stole zwłoki ukochanego pana, którego wypiastował na ręku i troskliwie zmywał krew gąbką, obwijał ranę, gdy posłyszał, że się drzwi otworzyły nagle, spojrzał i zadrżał.

Była to Zofia, powolnym weszła krokiem i osłupiały wzrok dotąd wlepiła w oblicze poległego wojownika. Jej suknia i włosy były w nieładzie, nie wyrzekła słowa, nie ujrzano łzy nawet jednej, stała jak posąg, załamała z gorżkim uśmiechem ręce i padła bez przytomności.

W wielkiej sali usiadła przed zwierciadłem i rozpuszczony warkocz splatać zaczęła. Huczko stał w kącie i płakał jak dziecie.

Zofia z boleścią westchnęła i wkrótce z gorżkim uśmiechem, układając włosy na głowie, zanuciła słabym głosem:

A czego płaczesz, czego żałujesz.
Dziewczyno moja?
Jak niemam płakać, niemam żałować,
Nie będę twoja.

Przerwała piosnkę, wstała, przeszła po sali i stojącego poznała Jana.

— A ty czego płaczesz, mój Janie? — rzekła z podziwieniem — o! nie płacz, nie płacz, już ja ci zaśpiewam. Ale co ci zaśpiewać?

Spuściła oczy w ziemię, uderzyła w czoło ręką jakby przypominając sobie.

— O! już wiem, już wiem! to co mój Stasio lubi.

Jan na wspomnienie ukochanego pana, i widząc Zofię w tak okropnym stanie, głośno się rozpłakał, ale łzy rzewliwe Jana nie zrobiły żadnego wrażenia na nieszczęśliwej. Uśmiechnęła się tylko, a stanąwszy w oknie, z którego ogród cały widzieć można:

— Janie! Janie! — zawołała.

Jan się zbliżył.

— Mój Janie! przynieś mi tych białych kwiatków, co tak gęsto rosną i pokazała na śnieg, który grubo okrywał ziemię.

Odwrócił głowę przywiązany pachołek, boleść jak kamień cisnęła serce, nie mógł wytrzymać dłużej i wybiegł z komnaty.

W kaplicy zamkowej brzmiały pienia żałobne, wniesiono i drugą trumnę z zwłokami Telembskiego. Nie było w tym świętym domu natłoku; podstarości, Huczko, mało dworzan i kilka kobiet składały cały orszak, który towarzyszył na cmentarz, bo wojownicy z chorągwi nadwornych, hajducy i mężni Kurpie, jedni zginęli pod zwycięzkim orężem Karola XII, drudzy w rozsypce szukali bezpiecznej ustroni, chroniąc się przed okrucieństwem szwedów.

Spuszczono trumny do grobów, każdy z przytomnych rzucił garść ziemi, jako ostatnią przysłu-

gę. Nie długo opustoszał cmentarz, Jan tylko klęczał i modlił się, gorżkiemi łzami zalany.

Noc była jasna, księżyc przyświecał; nie długo usłyszał skrzyp wozu po śniegu, co się przed cmentarzem zatrzymał. Dwóch Kurpiów dźwigało trumnę, a kobieta z płaczem postępowała za nimi. Poznał odrazu Stanisława Bąka z żoną i syna ich Jaśka.

— Komuż-to chrześciańską oddajecie posługę? — zapytał.

Małgorzata zaniosła się od płaczu, Stanisław łkając, rzekł przerywanym głosem:

— To mój poczciwy kuma, Borowy, on mnie uwolnił od śmierci, a czerwone dyabły zamordowały go okropnie. Ciało tyrało się po piasku, gdy nie mogliśmy nigdzie księdza dostać, pogrzebiem go sami.

— Nasza pani wojewodzina i mój dobry Stasio — odrzekł Jan, tłumiąc łzy i boleść — kochali go, niech więc przy nich spoczywa, tu mu wykopiem mogiłę.

Wzięli się do rydlów, wkrótce grób wykopali i spuścili Borowego ciało, przysypali wysoko ziemią i uklękli.

— A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen! — rzekli, razem kończąc swoje modły.

— No! bywaj-ta zdrowi nam, panie Janie — zawołał Stanisław — nie mamy chaty, wszystko spalili czerwone dyabły, dobrze, że choć przy życiu człowiek, musi się tyrać na stare lata.

— Gdzież pójdziecie teraz? — zapytał Jan zdziwiony.

— W nasze lasy, gdzie nas oczy zaniosą, gdzieby nas nie zwietrzyli te psy gończe. Bywajta zdrowi, a strzeżcie się, abo szwedy zajrzą i do zamku teraz niezadługo. Nikt już się im nie oprze, gdy tych dwoje zginęło!

I wskazał na mogiły wojewodziny i Telembskiego.

— I ten trzeci! — wyrzekł Jan — cośmy dopiero go pochowali. Niech spoczywają w Bogu.

Karol XII po odniesionem zwycięztwie już nie miał przeciwników silnych w Polsce, bo cały naród zmusił do uznania królem Stanisława Leszczyńskiego, nasycając krwawą zemstę morderstwem rozsypanych Kurpiów, co już mu oporu żadnego stawić nie śmieli. Banda opiłego żołdactwa napadła zamek poległej Działyńskiej, zrabowali go i spalili. Podstarości Dębołęcki z Janem Huczko, który odtąd pilnował nieszczęśliwej Zofii, schronili się do Jazdowa. Łatwo wyobrazić sobie rozpacz starego Ordona i matki, która jako na drugą ofiarę z rozdartem sercem patrzyć musiała. Chorobę Zofii cechowały otrętwiałość i ciągłe milczenie, w pięć miesięcy śmierć zakończyła jej cierpienia.

Karol XII pospieszył do Warszawy, gdzie w kościele Karmelitów (na Krakowskiem Przedmieściu) z Stanisławem Leszczyńskim poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń i wzajemną obronę. Chciał widzieć zwłoki bohatera Jana Sobieskiego, które w ówczas złożone były w kościele OO. Kapucynów, stał nad niemi zadumany długo i musiał pomyśleć, że gdyby martwa teraz prawica kordem władała, chorągwie szwedzkie nie powiałyby nigdy na ziemi polskiej.

Odwiedził Wilanów, sławny z ogrodem pałac, budowany rękami niewolników tureckich, ulubione miejsce Jana III. Stanąwszy przy łożu, na którem umarł waleczny Sobieski, zawołał:

— Tak wielki monarcha powinienby być wolny od daniny, którą naturze wypłacamy.

Nie długo bawiąc w stolicy Polski, ruszył całemi siłami na przeciwko Piotra Wielkiego, a uniesiony dumą i zwycięztwy, gdy się dowiedział, że buduje Petersburg, wyrzekł:

— Niech buduje Piotr miasta, potrafię je niszczyć.

Napróżno mocarz Północy ofiarował mu pokój, odrzucił wszelkie warunki.

— Brat Karol sądzi się Aleksandrem Wielkim — powiedział Piotr wtedy — ale we mnie nie znajdzie Dariusza.

Nie zrażał się bynajmniej z początku zwycięztwami Karola i co wyrzekł sprawdził.

— Przewidziałem—mówił, że dopóty szwedy nas bić będą, aż wojować nauczą.

Karol spieszył, stanął pod Półtawą, gdzie w jednej bitwie stracił całe wojsko, sam uciekać musiał, uwieczniając zwycięztwo Piotra Wielkiego, a własną porażkę przysłowiem:

„Przepadł jak szwed pod Półtawą!"

A Kurpie? Zmuszeni poddali się i przysięgli na wierność Stanisławowi Leszczyńskiemu. Gdy los zmienny zgruchotał potęgę Karola XII pod Półtawą, August upomniał się o swoje prawa i tron wydarty przemocą, wspierał go Piotr Wielki i wojska rossyjskie weszły do Polski.

Ów postrach świata, Karol, siedział w Benderze nieczynny jako niewolnik; patrzeć musiał na zniszczone owoce własnych trudów, rozlicznych zwycięztw i tyle krwi wylanej. Szmigielski z Janem Grudczyńskim stawiali opór daremny Augustowi.

Generał Steinflicht z pułkownikiem Rebinder

i nielicznym zastępem szwedów, cofając się przed potęgą Moskwy, szukali uchrony między Kurpiami, w ich gęstych i nieprzejrzanych lasach. Kurpie przyjęli gościnnie swoich katów, darowali urazy, a raz przysięgłszy Leszczyńskiemu na wierność, nie chcieli już uznawać Augusta za króla polskiego. Z równym zapałem jak dawniej porwali się do broni, stawiając mężny opór licznemu wojsku Rossyi, którem dowodził generał Biron.

Steinflcht z Rebinderem i garstką szwedów przywodzili Kurpiom. Na nowo zadrżały lasy od huku dział i wrzawy wojennej, długo mordercze trwały boje z różnem na przemian dla stron obydwu powodzeniem. Nie jedną jeszcze klęskę mężni Kurpie nieprzyjaciołom zanieśli i nie wprzód się poddali, aż wyczerpali wszelkie środki obrony.

Liczna załoga z Torunia z tyłu na nich uderzyła, pułkownik Rebinder rossyjską przyjął służbę, a waleczny Steinflicht z pozostałymi towarzyszami broni do Prus się cofnął.

Opuszczeni Kurpie, od wszystkich zdradzeni, musieli znosić nowe okrucieństwa i mordy, i zaprzysiądz powtórnie wiarę Augustowi II.